Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 25 zł — 12 stron | Warszawa, 22 października 1950 r. | Nr 30 Rok I

AMERYKAŃSKI DZIEŃ POWSZEDNI NA KOREI

BYŁO to lat temu jedenaście. Hitleryzm — czołowa wówczas forpoczta faszyzmu — deptał podkutymi butami bruki zamordowanej na pozór Warszawy. Jeszcze dymiły krematoria Oświęcimia, stu mających zginąć za parę tygodni w Wawrze chodziło jeszcze po ulicach, szubienica jeszcze nie poznała ciężaru ciał 50 powieszonych — jeszcze faszyzm nie odkrył ze wszystkim swojego oblicza Warszawie.

Oglądajmy zdjęcia z Korei! Tam zobaczymy „tempo amerykańskie". Oto pierwsze dni zwycięzców. Zamiast egzotycznych nazw miast koreańskich chciałoby się podpisać zdjęcia: oto Wawer, oto męka ludności cywilnej w powstaniu warszawskim.

Polska zna, Warszawa pamięta ludzkie ręce tak samo wyciągnięte do góry, ludzkie głowy tak samo rozbijane kolbami — to są te same ręce: ręce walczące o wolność, to są te same głowy, w których żyje myśl o wolności, o nowym zwycięskim świecie. Cóż z tego, że nie wiemy czy bezbronny starzec, który nie ma już siły podnieść rąk na wysokość „gwarantującą bezpieczeństwo" uzbrojonego w maszynowy karabin żołdaka, nie padnie za chwilę; czy nie zostanie zastrzelona matka, która tylko jedną rękę podnosi nad głowę, niosąc w drugiej dziecko, czy mała dziewczynka biegnąca za starcem nie stawia właśnie ostatniego kroku. Ich idee zwyciężą.

Jesteśmy „zahartowani" przez hitlerowskie zbrodnie, ale mimo to trudno przychodzi pojąć ogrom bestialstwa, jakie niesie każdy „amerykański dzień powszedni" na Korei. Zamiast kolejnego zdjęcia powtórzmy tekst wiadomości prasowej z 12 bm.

„Przed mikrofonem rozgłośni phenjańskiej Piak Jen-diu, któremu udało się zbiec z okupowanego Seulu, opowiedział o bestialstwach agresorów. W dniu 2 października wieczorem — oświadczył Piak Jen-diu — w dzielnicy Teksodon zjawili się dwaj wojskowi amerykańscy i trzej lisynmanowcy i aresztowali patriotę koreańskiego Li Men-boka i trzech członków jego rodziny. Spędzili oni przemocą mieszkańców dzielnicy na jeden z placów i zmusili ich do przypatrywania się egzekucji. Li Men-bok został powieszony na słupie telegraficznym a koło niego kaci powiesili jego 10-letniego syna i 6-letnią córkę".

*

Podpalacze świata sądzeni będą kiedyś za zbrodnie przeciw ludzkości popełniane w Korei. Dziś, czytelniku, pokazujemy ci kilka zdjęć. Uzupełnij je wizją powieszonego paroletniego dziecka. Koreańskie dzieci będą rysowały śmierć nie w postaci kościotrupa z kosą, a w postaci dobrze odżywionego żołnierza w amerykańskim hełmie. Wierzymy, że rychło te rysunki staną się symbolem jakiejś zamierzchłej mitologii — mitologii kapitalizmu w jego imperialistycznej fazie. Powtórzmy za Kim Ir-senem:

„Druzgocący cios zostanie wrogowi nieuchronnie zadany... Chwała bohaterskiej, koreańskiej armii ludowej! Chwała bohaterskim partyzantom na zapleczu nieprzyjacielskim! Niech żyje bohaterski naród koreański, który powstał do walki o niepodległość, wolność i honor swej ojczyzny, przeciwko imperialistycznym agresorom!".

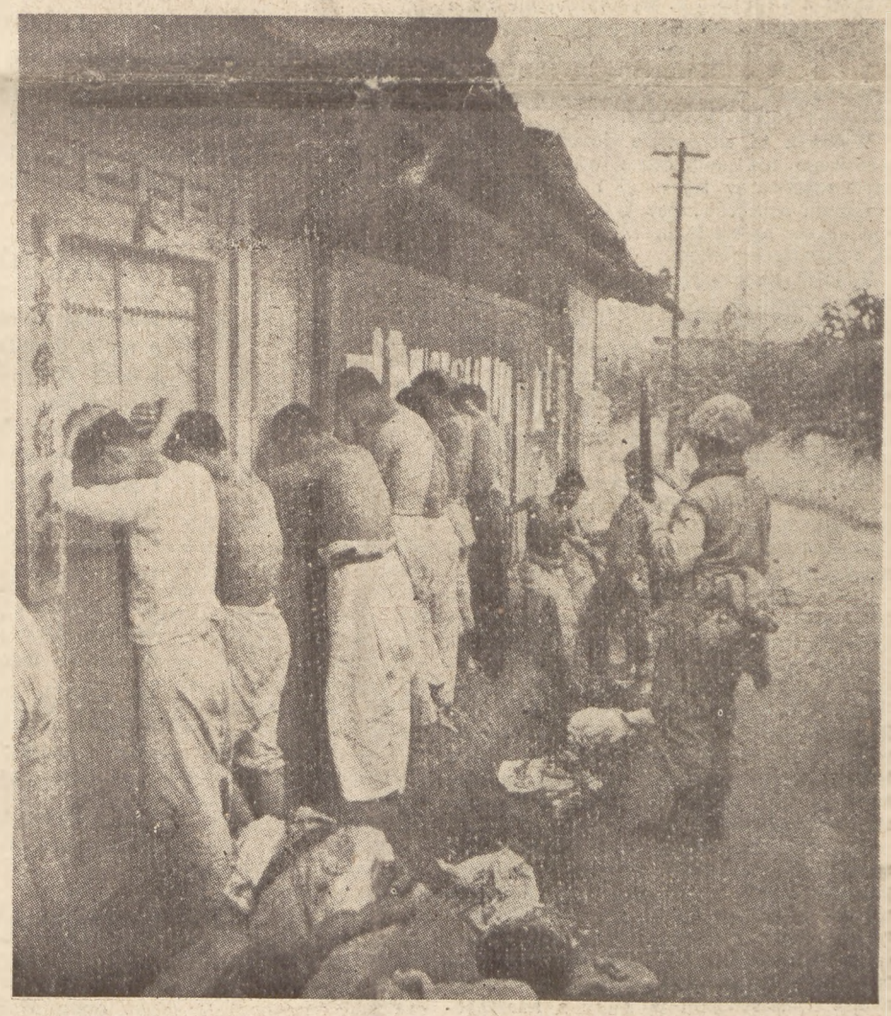

Wszystkie zdjęcia z anglosaskich tygodników „Picture Post" i „Time"

JULIUSZ POLLACK

W WALCE Z ANALFABETYZMEM

Tegoroczny „Tydzień Walki z Analfabetyzmem", który odbędzie się w całym kraju w dniach od 22 do 29 października, jest drugim z kolei tego rodzaju tygodniem, zorganizowanym od chwili uchwalenia przez Sejm Ustawodawczy R.P. historycznej ustawy z 7 kwietnia 1949 roku o społecznym nauczaniu analfabetów. Pierwszy „Tydzień", który odbył się we wrześniu ubiegłego roku, a więc niemal na samym wstępie zainicjowanej tą ustawą walki z analfabetyzmem, miał na celu przede wszystkim zapoznanie społeczeństwa z ogromnymi zadaniami, jakie należało wykonać, aby analfabetyzm, tę smutną spuściznę przedwrześniowych kapitalistycznych rządów i okupacji hitlerowskiej bez reszty z naszego kraju wytrzebić. Chodziło również o to, aby społeczeństwo zdało sobie w pełni sprawę z olbrzymiego znaczenia, jakie dla przyszłości naszego kraju będzie miało zwycięskie przeprowadzenie całej akcji, tzn. wyrwanie z mroków ciemnoty i zacofania 1.500.000 ludzi i uczynienie z nich pełnowartościowych, światłych i twórczych obywateli Polski Ludowej. Przez uświadomienie ogromu zadań i wielkości znaczenia walki z analfabetyzmem ubiegłoroczny „Tydzień" miał zmobilizować całe społeczeństwo do udziału w tej walce. Od pierwszej chwili było bowiem jasne, że siłami wyłącznie administracyjnymi i szkolnymi, hasła „Ani jednego analfabety w Polsce" nie będzie można zrealizować.

Pod tym względem „Tydzień", jak również i systematyczna akcja propagandowa, prowadzona przez Biuro Pełnomocnika Rządu do walki z analfabetyzmem w dużym stopniu spełnił swoje zadanie.

Obok czterech podstawowych, masowych organizacji społecznych Centralnej Rady Związków Zawodowych, — bierze w niej w tej chwili udział Związek Samopomocy Chłopskiej, Związek Młodzieży Polskiej i Liga Kobiet, 25 innych, mniejszych organizacji i stowarzyszeń. Akcja walki z analfabetyzmem zmobilizowała dziesiątki tysięcy nauczycieli, działaczy oświatowych, młodzież szkół wyższych i średnich. Poważny wkład ma w niej Odrodzone Wojsko Polskie. Coraz powszechniejsze staje się też indywidualne nauczanie analfabetów przez poszczególnych obywateli.

Dotychczasowe wyniki akcji wyrażają się liczbą około 400.000 ludzi, którzy na kursach początkowego nauczania nauczyli się czytać i pisać i otworzyli sobie w ten sposób drogę do dalszej nauki i awansu społecznego.

Mimo poważnych rezultatów — aby zupełnie wytrzebić w Polsce analfabetyzm trzeba akcję tę nadal i intensywnie kontynuować. Z przeprowadzonych rejestracji i obliczeń wynika, że ponad 1.100.000 obywateli naszego kraju w wieku od 14 do 50 lat, a więc podlegającym na podstawie ustawy z 7.IV.1949 r. nauczaniu, nie umie jeszcze czytać i pisać. Ta olbrzymia rzesza ludzi musi być objęta nauczaniem w najbliższym czasie. Walka z analfabetyzmem powinna być zgodnie z planem akcji zakończona do 31.XII.1951 r.

Wymaga to oczywiście jeszcze bardziej masowego niż dotychczas udziału całego społeczeństwa w tej akcji i dalszego pomnożenia wysiłków. Pod tym hasłem odbywać się też będzie tegoroczny Tydzień Walki z Analfabetyzmem.

Tydzień da okazję do zapoznania całego społeczeństwa z zadaniami, jakie jeszcze trzeba wykonać w tej dziedzinie. Kontrola i dokładne uzupełnienie rejestracji analfabetów i półanalfabetów przeprowadzone we wszystkich gromadach, blokach mieszkalnych, w każdym zakładzie pracy ma na celu ujawnienie i objęcie rejestracją tych osób, które na mocy ustawy z dnia 7.IV. 1949 r. podlegają obowiązkowi społecznego nauczania, a które nie zostały dotychczas zarejestrowane. Umożliwi to ostateczne zaplanowanie i zorganizowanie całkowitej likwidacji analfabetyzmu.

Jednocześnie w czasie „Tygodnia" wzmożona zostanie znacznie akcja wysuwania byłych analfabetów na pozycje społeczne, którym dzięki uzyskanej umiejętności pisania i czytania będą teraz mogli podołać. Wielu byłych analfabetów wejdzie do Rad Zakładowych i Rad Narodowych. Istnieje wśród nich niewątpliwie duża ilość ludzi takich, którzy obecnie znakomicie poradzą sobie na tych ważnych a odpowiedzialnych stanowiskach.

W „Tygodniu" odbędzie się również premiowanie uczestników kursów i zespołów początkowego nauczania wyróżniających się postępami w nauce. Premie udzielone zostaną poza tym nauczycielom i działaczom społecznym, szczególnie zasłużonym przy likwidacji analfabetyzmu. Wzmożony udział społeczeństwa w walce z analfabetyzmem winien znaleźć wyraz w podejmowaniu zobowiązań indywidualnego nauczania analfabetów, w organizowaniu i przejmowaniu pod opiekę przez organizacje społeczne nowych kursów i zespołów, w organizowaniu dla kursów i zespołów początkowego nauczania pomocy materialnej, w zaopatrywanie ich w podręczniki i materiały szkolne, w opał i światło.

*

Nie można ani na chwilę zapominać, że sprawa likwidacji analfabetyzmu wiąże się ściśle z realizacją Planu 6-letniego. Plan potrzebuje ludzi. Realizacja powszechnego nauczania analfabetów ma właśnie przysporzyć społeczeństwu setki tysięcy pożytecznych, wartościowych obywateli — świadomych budowniczych socjalizmu.

Jest jednak oczywiste, że aby tak się stało, nie wystarczy poprzestać na przeszkoleniu półtora milionowej armii analfabetów na kursach i zespołach początkowego nauczania. Trzeba ponadto absolwentów tych kursów i zespołów zabezpieczyć przed powrotnym analfabetyzmem, trzeba im umożliwić dalsze kształcenie, trzeba ułatwić im zdobycie pożytecznego zawodu i awansu społecznego. Jeżeli się tego nie uczyni, wielki wysiłek włożony w organizację początkowego nauczania w dużym stopniu będzie zmarnowany.

Toteż równolegle i w ścisłym związku z akcją powszechnego nauczania prowadzona jest przez władze państwowe przy współudziale organizacji społecznych akcja utrwalania wyników osiągniętych w walce z analfabetyzmem.

Absolwenci kursów w wieku od lat 17 do 19 uzyskują możność dalszego kształcenia się w szkołach przysposobienia przemysłowego różnych gałęzi. Bezpłatna nauka, bezpłatne internaty umożliwiają młodzieży zdobycie wykształcenia fachowego w przemysłach węglowym, chemicznym, metalowym, mineralnym, energetycznym, papierniczym i innych. Absolwenci-rolnicy mogą kształcić się dalej w szkołach przysposobienia rolniczego. Absolwenci kursów, którzy mają uzdolnienia artystyczne mogą kształcić się w miejskich i wiejskich ogniskach kultury plastycznej i w szkołach muzycznych. Dla absolwentów starszych stoją otworem liczne szkoły dla dorosłych. Wielu z nich zapisuje się również do Wszechnicy Radiowej.

Znaczna ilość przeszkolonych analfabetów nie ma jednak odpowiednich warunków do kontynuowania systematycznej nauki. Dzieje się tak zwłaszcza na wsi. W tych wypadkach opiekę oświatową nad absolwentami kursów pozostającymi poza zasięgiem szkolnictwa dla młodzieży i dorosłych obejmują zespoły czytelnicze. Zespoły takie, prowadzone przy biblictekach i świetlicach, utrwalają nabyte przez byłych analfabetów na kursach początkowego nauczania umiejętności czytania i pisania, a tym samym chronią ich przed powrotnym analfabetyzmem, rozbudzają w nich zainteresowanie czytelnicze, wdrażają do czytania książek i czasopism, do korzystania z bibliotek i czytelni. Uczą rozumnie dobierać książki i umiejętnie z nich korzystać, kształtują naukowy pogląd na świat oparty na zasadach marksizmu-leninizmu. Plan na rok 1950 przewiduje utworzenie 20 tysięcy takich zespołów w całej Polsce.

Najlepiej jednak zorganizowane zespoły nie spełnią swej roli jeśli nie otrzymają właściwej pod względem treści i formy książki, jako lektury podstawowej dla czytelnictwa. Dlatego w planie pracy Biura Pełnomocnika Rządu do Walki z Analfabetyzmem i Ministerstwa Oświaty projektuje się wydanie jeszcze w tym roku pierwszej serii utworów dostosowanych do potrzeb pokursowych.

Bardzo charakterystyczny dla dalszych losów byłych analfabetów jest przykład powiatu Grodków, gdzie kursy nauczania początkowego ukończyło 300 osób, obecnie 67 z nich uczęszcza do szkół przysposobienia przemysłowego i na kursy traktorzystów, jedna osoba znajduje się już w szkole średniej, a 120 stanowi stały skład zespołów czytelniczych. Pewna część absolwentów uczęszcza na kursy szkoły podstawowej dla pracujących. Niewielka tylko grupa odpadła na razie od dalszej nauki na kursach lub zespołach czytelniczych.

Nie wszędzie jest oczywiście tak dobrze. Niemniej u znacznej części absolwentów kursów nauczania początkowego spostrzec można fakt, że raz rozbudzone zainteresowanie wiedzą przez opanowanie umiejętności czytania i pisania otwiera przed nimi szersze perspektywy, pobudza ambicje, ukazuje szerokie horyzonty awansu społecznego i zawodowego. Budzi się świadomość własnej użyteczności w społeczeństwie. Biuro Pełnomocnika Rządu do W.A. otrzymuje setki listów, w których absolwenci kursów nauczania początkowego wyrażają chęć dalszej nauki i specjalizacji w określonym zawodzie.

Już dziś wielu absolwentów kursów i zespołów początkowego nauczania, dzięki zdobytej umiejętności czytania i pisania, dzięki utrwaleniu i rozszerzeniu tych umiejętności drogą dalszego uczenia się, zdobyło awans społeczny i zawodowy.

I tak np. jednym z absolwentów kursów początkowego pisania we wspomnianym już powiecie grodkowskim był małorolny chłop, Karol Koniora z gromady Wojsław. Koniora ukończył kurs w czerwcu br. Obecnie jest w swojej wsi sołtysem, zastępcą przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, do której powstania walnie się przyczynił i gromadzkim pełnomocnikiem do walki z analfabetyzmem.

Inny przykład: Władysław Ważny, spalacz z przędzalni Wałbrzyskich Zakładów Przemysłu Lniarskiego, syn małorolnego chłopa, uczęszczał na kurs początkowego nauczania. Zdobycie umiejętności pisania pozwoliło mu na dokonanie wynalazku racjonalizatorskiego — usprawnienie kotła do gotowania przędzy. Ważny, który jeszcze niedawno był kompletnym analfabetą, przed dokonaniem swojego wynalazku przeczytał i przestudiował odpowiednie materiały a następnie dokładnie wynalazek ten opisał. Jako racjonalizator został wysoko premiowany.

*

„Obecnie trwa decydujący etap walki z analfabetyzmem — stwierdził Pełnomocnik Rządu do Walki z Analfabetyzmem min. S. Matuszewski. — Kampania wiosenno-letnia i kampania jesienno-zimowa 1950/51 r., a zwłaszcza ta druga, będą wielkimi bitwami, które zadecydują o ostatecznym wyniku całej akcji. Stąd wypływa konieczność maksymalnego zwiększenia wysiłku ze strony całego społeczeństwa, przede wszystkim zaś ze strony działaczy społecznych i oświatowych pracujących na odcinku walki z analfabetyzmem. Jeżeli wysiłek ten będzie utrzymany i, do czego dążymy, zwiększony, to pod koniec 1951 roku z dumą będziemy mogli powiedzieć, że nie ma już ani jednego obywatela w Polsce, który by nie umiał czytać i pisać".

Juliusz Pollack

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

MIGAWKI Z KONGRESU POKOJU

DWA SŁOWA I RADOŚĆ JEDNA

Dwa słowa, które radość budzą.
Dwa słowa, które znaczą to samo.

Na Kongresie Pokoju w Warszawie
dwa słowa z jednakową czcią wymawiano

Było to słowo „pokój"
i było nazwisko Człowieka,

co na Kremlu o wiekach pamięta
i Pokojem zostanie dla wieków.

*

Dwa słowa były i radość była jedna.
Uśmiechał się do słów tych górnik towarzysz Filak,

nieskory do radości, stary chłop się uśmiechał
w dzień jutrzejszy wstępując na chwilę.

I promień wybuchł spod skośnych
oczu pułkownika Kan Buka z Korei.

Poprzez kopułę szklaną siwy ksiądz katolicki
dostrzegł słońce wschodzącej nadziei.

Słońce to po raz pierwszy nam oglądać dano
To ono zbrodni noc na zawsze do ucieczki zmusi.

I światłem usta zakwitły
czarnoskórego komunisty d'Arboussier.

MŁODOŚĆ ŚWIATA

Masz lat dwadzieścia
a może dwadzieścia jeden
I oczy twoje są błękitne
jak niebo,
takie jak niebo wiosną.
Piękne — myślałem — są oczy
i młodość twoja jest piękna.
A my właśnie o młodość walczymy
i twoją, i moją, i świata.

Pokój nam życie przedłuży,
a komunizm przedłuży nam młodość.
Wtedy siwy człowiek umierając,
do końca młodym zostanie.

Bo właśnie o młodość walczymy,
a także o twoje oczy błękitne,
aby z nich barwy wiosennego nieba
łzy na rzęsach nie zmyły

i aby świat nigdy więcej
kochać ich nie oduczył.

BALLADA O RICIE SCHULTZ

O Rito, niemiecka dziewczyno,
onegdaj z więzienia zwolniona.
Rito, o Rito, Rito,
Pałkami jej ciało pobili.

Onegdaj z więzienia zwolniona,
dziś na warszawskim Kongresie
świadczyła sińcami na rękach,
że prawdy zwyciężyć się nie da.

I bita żandarmską pałką
tyś nie wyrzekła się słowa —
„Frieden" — mówiły twe wargi
Dziś sińce twe znaczą to samo.

Rito, o Rito, Rito,
Kocham twe sińce na rękach.
Dziś na warszawskim Kongresie
stoisz wolna i uśmiechnięta.

Oto, dziewczęcy głos leci
wśród głosów dwuch tysięcy.
Słyszycie? — To Rita — Niemka
woła „Niech żyje Bierut!"

Jeszcze spotkamy się, Rito,
i na twój okrzyk dzisiejszy,
może w Twym kraju kiedyś
odpowiem „Es lebe Pieck!"

Rito, o Rito, Rito,
kocham twe sińce na rękach.
Jeszcze się nieraz spotkamy,
ty mówiąc „Frieden", ja — „pokój".

KREMLOWSKIE GWIAZDY

Wandzie Wasilewskiej

Świeciły wśród nocy faszyzmu czerwone kremlowskie gwiazdy,
świeciły wiarą milionów i nadzieję głosiły milionom,
— słów Wasilewskiej słuchały twarze w milczeniu zakrzepłe,
a w oczach płonęły te same czerwone, kremlowskie gwiazdy.

I była w oczach ta sama wielka nadzieja milionów,
Wola była jak pocisk ze stali stężona i celna,
walka zaciekła jak wtedy, chociaż żywi zostaną w niej wszyscy.
Fronty płonęły w oczach zebranych w tym boju o życie.

O kule, o serca bijące w rytm czasów, które nadchodzą.
Zbłąkany motyl o szyby sufitu uderzał skrzydłami.
Wymknął się oknem otwartym. Śledził go wzrok tysięcy.
Kiedy na wolność wyleciał, myśmy w nim symbol dostrzegli

czasów, które nadchodzą dla wolności i życia.
Stary chłop się uśmiecha. Ktoś znieruchomiał, jak gdyby
odważał ciężar słów o gwiazdach świecących zwycięstwem.
Kobieta w barwnej chusteczce nos wycierała głośno.

Płakała łzami, które znaczą szczęście.

OSTRZEŻENIE

Nie apeluję do was,
lecz ostrzegam.
Kto sieje burzę,
zbierze gromy
gotowe, z ludzkich, czystych rąk
uderzyć w was i spalić.

Słyszycie?
Każdy nasz wiersz
osądza was.
I każdym słowem
zabijać was będziemy.

Oto odpowiedź ludu
na zarazę,
na zbrodnię,
na śmierć.

Ślecie do mej ojczyzny
samoloty z pomorem dla roślin.
Roślinom odbieracie życie
— niechaj nie dają go ludziom.
Ślecie agentów i łotrów,
ale kraj mój dla nich
grobem się stanie.

Słyszycie?

Dla nas w zieleni radosną
kolebką życia
zboża się kołyszą,
dziecko się rodzi o oczach spokojnych.
Chroni je każda nasza dłoń
czerwona od cegły;
czarna, radosna, węglowa;
ogorzała, słoneczna, polna.

Oto jest głos ziemi,
którą kocham.
Tętno mej ziemi
bije spokojnie,
lecz tego spokoju
nie oddzielić od ogromnego
spokoju świata.
Nie oddzielić serca mej ziemi
od wielkiego serca świata.
Każdy z nas posiada
swoją w nim cząstkę.

Dlatego
nie apeluję do was,
lecz ostrzegam:
niepodzielne jest serce świata,
niepodzielne jest ludu serce,
serce, które potrzebuje pokoju
i które go zdobyć potrafi.

1 — 3,9. 1950 (I Polski Kongres Pokoju).

ROMAN BRATNY

Dzień w Szczecinie i dzień poza nim

(Z notatek kierownika teatru)

ANALIZA SZTUKI

„Tak się modliłam, żeby wszystko się dobrze skończyło! Tak się modliłam!"

„A czy nie modliłaś się każdego dnia, żeby twój ojciec powrócił z wojny żywy i cały?"

„Modliłam się"

„I dużo ci to pomogło"...

Tu na czytanej próbie sztuki radzieckiej autorki Lubimowej „Śnieżek" wybucha dyskusja. Sztuka, mówiąca w pierwszym rzędzie o dyskryminacji rasowej stosowanej w Ameryce nie napotyka, zdawałoby się, na opory wewnętrzne aktorów, niezależnie nawet od ich takiej czy innej orientacji politycznej. Poprzedzająca próbę lektura utworów obrazujących sytuację amerykańskich Murzynów przesądziła kwestię ustosunkowania się wewnętrznego aktorów do sztuki. W zahamowaniu, jakie następuje przy cytowanej kwestii wprawne ucho słyszy jednak niebezpieczny zgrzyt. Jak ziarnko piasku w trybach precyzyjnej maszyny trze tu i zgrzyta nieujawniająca się wprost chęć swoistej „dyskryminacji" politycznie jednoznacznego utworu. Dyskusja operująca z jednej strony językiem „uświadomionych katolików" (dogmat Opatrzności); z drugiej cytatami z Deklaracji Ideowej PZPR, gwarantującej swobodę kultu religijnego, staje się ostra. Krzyżują się argumenty. Oczywiście pojawia się „obiektywna racja" w postaci obowiązku liczenia się z uprzedzeniami widowni. „Drażniąc uczucia religijne widza ryzykujemy możność oddziaływania na niego".

Argument ma siłę oddziaływującą chociaż jest oportunistyczny, fałszywy wobec faktu, że tekst przytoczony podany jest w formie dyskusji dwojga uczniów gimnazjum i niczyich uczuć religijnych nie obraża. „Autor" argumentu, zachęcony pierwszym sukcesem, prowadzi ofensywę dalej.

„Bo przecież i tak wiadomo co będzie — będziemy leżeć jak z „Bajką". (Nieuświadomionemu czytelnikowi trzeba przypomnieć, że „Bajka" Swietłowa odniosła w finale Festiwalu Sztuk Radzieckich duży sukces, a w Szczecinie grana była stosunkowo bardzo dużą ilość razy).

Ostatni, jawnie fałszywy, argument zachwiał pozycję „mówcy" — dyskusja trwa ujawniając utajone kompleksy. Minęły czasy, kiedy to gwiazda filmowa dawała do zrozumienia: „nie będę się kompromitować w agitacyjnym filmie", ale wśród kadr aktorskich pozostało wiele jeśli już nie fałszywych wyrachowań, to fałszywych wyobrażeń o obowiązku nie wychowywania widza, a dogadzania widzowi. Nie zawsze rozumie się, że oczywiście dogadzać widzowi trzeba — dając mu sztuki najlepiej wypracowane, ale nie można mu „dogadzać", ustępując popularnemu jeszcze na widowni kołtunowi bodaj na jotę w sprawach repertuaru.

TROCHĘ O PRZESZŁOŚCI

Niedawno teatr, gdzie odbywa się próba „Śnieżka", gościł na swojej scenie zespół świetlicowy przedsiębiorstwa transportowego „Hartwiga" grający napisaną przez byłego robotnika sztukę ze środowiska robotników portowych. Teatr zaprosił transportowców na scenę, która była wolna, bo jedną sztukę przestano już grać, a druga, będąca w próbach, nie była jeszcze gotowa. Aktorzy potraktowali wizytę kolegów robotników chłodno. Przedstawienie, jak na robotę świetlicową raczej dobre, nie znalazło, nie tylko w tym zresztą środowisku, zrozumienia.

Gdy aktor grymasi na reżyserię amatorskiego teatru (w którym nb. na afiszu umieszczono na równie poczesnym miejscu co reżysera suflera spektaklu), to winić go trudno, gdy prasa miejscowa gloryfikuje przedstawienie jako „polską Brygadę Szlifierza Karhana", to winić ją można za zatracenie hierarchii artystycznej, gdy recenzent miesięcznika „Teatr" publikuje recenzję „niszczącą", to nieporozumienie ma tło głębsze. W sytuacji bowiem w jakiej znalazła się na scenie sztuka Daukszy, niewątpliwy jest tylko błąd kierownictwa literackiego teatru, które nie skłoniło autora do przyjęcia proponowanych poprawek. Nie może być natomiast mowy o błędach organizacyjnych, o braku fachowej reżyserii, bo myślą organizatorów było zapoznanie publiczności z autentyczną robotą ambitnych, wyciągających sztukę z własnego środowiska, świetlicowców. Ostra krytyka przedstawienia, jako objawu „nadgorliwości" musiała utwierdzić oportunistów w ich stosunku do konkretnej akcji zbliżenia teatru do pracy świetlicowej, utrudnić dostanie się aktora ze świetlicy przed zorganizowane teatralnie audytorium, a z czasem do zespołu teatru; musiała utrudnić start autorowi-samoukowi. Eksperyment, który, mimo niewątpliwe błędy, był jakimś krokiem po tej właśnie drodze, przekreślono definitywnie, wychodząc z wyraźnie błędnego politycznie założenia, że większym niebezpieczeństwem są autorskie niedociągnięcia niż rutyniarstwo i oportunizm.

Rozgrywka nie szła przecież o to, czy jest to „nowy Karhan", czy „słaba sztuka". Szło o to, by robotnik-autor, by robotnicy-aktorzy poczuli się współgospodarzami w teatrze, by przebywający wśród widzów pracownicy innych świetlic mogli powiedzieć: i my potrafimy, by aktor zawodowy na własne oczy obejrzał w jakich warunkach pracuje amator i jak daleko wychodzić będziemy mu naprzeciw, by zobaczył na scenie aktora-robotnika, który jutro może stać się jego kolegą. Aktor, który miał zobaczyć na scenie robotników grających robotników, przeczytał potem ośmieszające sprawę komentarze — mógł w międzyczasie podsłuchać w kuluarach rozmowę działaczki, która atakowała świetliczan za „naturalizm gry aktorskiej", przejawiający się w przydługim piciu piwa na scenie. Droga przełamywania własnych narowów, studiowanie środowiska robotniczego i poddawanie się jego wpływowi, może być bardzo różna. Ważne hasło: „idź do fabryki — popatrz!" ich nie wyczerpuje. Droga przez robotniczą świetlicę — dla aktora łatwiejsza — też nie jest do pogardzenia. Człowiek kształtuje rolę, ale też i odpowiednio postawiona rola kształtuje człowieka. I to nie tylko człowieka siedzącego na widowni, ale i samego aktora. Widziałem, jak rósł wewnętrznie w oczach aktor — członek Partii — w okresie, gdy grał rolę partyjniaka w radzieckiej sztuce. Wierzę, że ten człowiek, sam w jakiś sposób wychowany przez sztukę, mógł dopiero ze sceny oddziaływać wychowawczo.

WSTĘP DO AKCJI TERENOWEJ

Wracamy na próbę, która kończy się dziś wcześniej, bo kilku aktorów wyjeżdża „w teren", do jednego z miasteczek powiatowych. Sprawa rozszerzenia działalności teatru poza miasto - stolicę województwa jest, oczywiście, zagadnieniem poważnym. Sprawa ta poczęła się w atmosferze niezbyt szczęśliwej. Na półkilometrowym szlaku wiodącym od Teatru do bram władz wojewódzkich rozegrała się Odyseja pracowników teatru, którzy — z początku „popychani" do akcji, potem własnym rozpędem, szturmowali o środki transportu dla dekoracji, o adaptację niegotowych do przyjęcia teatru scen w małych miasteczkach, o samochód osobowy potrzebny dla prac organizacyjnych w terenie. A przecież są teatry, posiadające samochody osobowe de facto chyba obliczone tylko na dyrektorskie osoby! Szczeciński teatr prowadzący dwie sceny i trzecią objazdową nie ma żadnych własnych środków transportu!

Ze względu więc na objazdowiczów próba kończy się nieco wcześniej. Wyjeżdżający aktorzy galopem gnają na dworzec, a prowadzący próbę udaje się do placówki Artosu, by dowiedzieć się z jakich materiałów literackich zmontowano repertuar przeznaczony do objazdu na teren PGRów. Ogłuszony wrażeniami niedawnej próby z pokornym zaległnieniem wysłuchuje relacji, że na program składa się jakiś wstydliwie kretyński monolog, aria operowa, satyryczny wierszyk, no i!!!! „Dziewczyno".

— Co za „Dziewczyno"?

— „Dziewczyno, cóż mogę ci powiedzieć" — tango. Jasne?

— Jasne.

Na ulicy był już zmrok. Dzień się kończył. Prowadzący próbę miał jutro jechać na wieś z wieczorami autorskimi. Trasa obejmowała szereg PGRów. Układając w myśli program swoich wieczorów, poświęconych tematycznie planowi sześcioletniemu, szedł du domowi nucąc uparcie piosenkę. Gdy w pewnej chwili uświadomił sobie z przerażeniem jej tekst!... „Dziewczyno, cóż mogę ci powiedzieć..." Tfu!

W TERENIE

Miasteczko powiatowe Łobez. W odległości 2 kilometrów od stacji, poprzez drogę prowadzącą obok rozwalonych domów dochodzę do rynku, na którym w czterech straganach pięć bab sprzedaje pare wiązek cebuli i kilka tuzinów jabłek. W kierowniczej instytucji zapytany o sprawę wizytacji miasteczka przez teatr instruktor odpowiada z rezerwą, że „tutaj teatry już nie raz bywały". Ponieważ Teatr mimo wysiłków nie może obsłużyć wszystkich środków i nigdy nie słyszałem, by wyjeżdżał do Łobezu, jestem nieco zdziwiony informacją rozmówcy, że obecnie w objeździe jest ciekawa komedia radziecka. Na moje pytanie jakie to sztuki widziało miasteczko otrzymuję odpowiedź: „Czas na wczasy", „Bałwany morskie i lądowe". Zaczynam nucić „Dziewczyno"... oczywiście był tu Artos.

Od spraw miejskiego dnia powszedniego wyrwałem się nie dla dyskursów w miasteczku. Jedziemy na PGRy. Nowa wieś wita autora nie tylko płaczem niemowląt z reguły „ zgromadzonych licznie" u piersi matek na sali, nie tylko tradycyjną nadzieją „cyrk będzie". Wita pięknym rozmachem pracy, wita wiejskimi kinami stałymi, realizującymi pierwsze podstawy prawa wsi do kultury. W PGR Radzim jesteśmy w świetlicy zajmującej pokaźny nowy barak. Powstał jako czyn lipcowy pracowników. Nikt tu, oczywiście, teatru jeszcze nie widział, ale co gorsza, piękna scenka daremnie czeka na „mały teatr". Niestety osoba prowadząca świetlicę nie wie w ogóle o bibliotece świelicowej wydawanej przez CRZZ. „Myśmy myśleli, żeby wykonać „Zemstę".

Ambicja wynikająca z zupełnej dezorientacji repertuarowej nie jest ambicją zdrową. Przecież „Zemsta" wymaga fachowej reżyserii, piętrzy przed zespołem ogromne trudności obsadowe, nie dając w efekcie przedstawienia o pożądanym ładunku ideowym.

TRZY LISTY

W tym miejscu artykułu przychodzi mi raz jeszcze zdać sobie sprawę z nikłego wciąż zasięgu prasy kulturalnej w Polsce. O takich sprawach trzeba pisać przede wszystkim w docierających wszędzie dziennikach. Planuję w myśli list:

Do Redakcji „Rolnika Polskiego"

W związku z istniejącym niewątpliwie na terenie świetlic wiejskich zupełnym brakiem orientacji co do możliwości i metod pracy świetlicowej proponuję w Waszym piśmie otwarcie działu poradni świetlicowej, gdzie drukowałoby się recenzje z Biblioteki Świetlicowej CRZZ i z innych podstawowych dla pracy świetlicowej wydawnictw, gotowe montaże okolicznościowe z uwagami reżyserskimi itp. itp.

Ale wracajmy na wieś. W przedszkolu w Radzimiu poznałem chłopca, który może być symbolem tego jak wyrasta międzynarodowe braterstwo. Chłopiec ten nazywa się Michał Frydrych, jest synem niemieckiego robotnika, ma lat sześć i jako najstarszy z dzieci pełni ambitnie funkcje „pomocnika" pegeerowskiej przedszkolanki. W czasie gdy oglądałem przedszkole, w którym podczas pracy rodziców spędzają czas dzieci ludzi należących kiedyś do najbardziej wyzyskiwanej części proletariatu, dzieci fornali, w tym czasie Michał Frydrych, młody Niemiec, wychowany w Ludowej Polsce opracowywał do deklamacji wiersz o lotniku. Michał Frydrych mówił ze zrozumieniem i uczuciem wiersz o lotniku unoszącym się nad „spokojną ziemią", wiersz, w którym było słowo „pokój". Porozmawialiśmy sobie potem i nie skłamię jeżeli powiem, że chciałbym być dziś artystą, tak wybitnym, by umieć napisać utwór równie prosty, który by tak samo mógł być zrozumiany i recytowany przez Michała Frydrycha w pegeerowskim przedszkolu.

Czytam jednoaktówkę komiczną „Jak szofer Iwor odnalazł plan sześcioletni". Jednoaktówka okazuje się gatunkiem całkiem odpowiednim na tego rodzaju okazję. Oczywiście nie pro domo sua a z bardziej zasadniczych racji wychodząc, planuję w myśli następny z kolei list:

Do Dyrekcji Teatrów Państwowych

Ponieważ akcja objazdowa — o ile jest w ogóle przez wasz teatr prowadzona — z reguły nie dociera na wieś, proponuję utworzenie paroosobowych ekip, które z wyreżyserowaną taką czy inną jednoaktówką wizytowałyby PGR-y i Spółdzielnie Produkcyjne. Sądzę, że nie od rzeczy byłoby przypomnieć, że Artos mógłby tego typu objazdy, czy wizyty — zależnie od lokalnych warunków, czasu jakim dysponuje wybrany zespół itp. — finansować, rezygnując z wysyłania na teren wsi tanga „Dziewczyno".

Jestem w spółdzielni produkcyjnej Siwkowice. Spółdzielnia rozwija się świetnie, prowizoryczne obliczenia wskazują, że dniówka obrachunkowa wyniesie ponad 800 złotych, ale... ale tym razem nadaje się ona tylko... znów muszę załatwić sprawę „listownie":

Do „Trybuny Ludu"

Spółdzielnia produkcyjna Siwkowice, posiadająca wielkie sady, w ciągu kilku tygodni września nie miała dokąd dostarczać owoców, gdyż skup został wstrzymany. Uwzględniając fakt, że w okresie tym cena owoców w miastach przekraczała o 1000 proc. (tysiąc proc.) cenę tych dostaw hurtowych, zwracam się z prośbą o spowodowanie tą drogą wyjaśnień czynników zainteresowanych, co spowodowało taki stan rzeczy.

Ileż tych „wewnętrznych listów" zawiera jeden artykuł! O ileż więcej spraw przynosi jeden dzień w pewnym mieście i jeden poza nim.

Ale oto na horyzoncie widać już dźwigi portowe Szczecina. Wracamy. Po próbie „Śnieżka" pomówimy z aktorami o możliwości wystawiania po wsiach jednoaktówki o planie sześcioletnim. Coraz mniej jest ludzi od których można się spodziewać wątpliwości czy nie „porusza ona spraw obrażających... uczucia religijne". A może już takich ludzi nie ma w ogóle?

Dowiemy się jutro.

Roman Bratny

IRENA KROPIELNICKA

Na mazursko-warmijskim szlaku spotkań autorskich

Wśród „kwiatów" jakie wpadają mi w ręce w moich licznych wędrówkach z autorami po województwie olsztyńskim jest taka malutka notatka, wpisana niewprawną ręką trudzącą się nieporadnie z kaligrafią i ortografią do mego notesiku instruktorskiego, a mianowicie: „Produkcyjna spółdzielnia we wsi Żardeniki, powiat reszelski prosi o zorganizowanie spotkania z pisarzami polskimi w naszej świetlicy. Kierownik świetlicy Weliński Stefon".

Świetlicę w spółdzielni produkcyjnej Żardeniki odwiedziliśmy z Leopoldem Buczkowskim w przejeździe do Jezioran na spotkanie autorskie. Autor po drodze wyraził życzenie zwiedzenia świetlicy we wsi, poznania jej kierownika w celu uzyskania od niego informacji o czytelnictwie w nowozorganizowanej spółdzielni produkcyjnej. Los zrządził, że tym kierownikiem świetlicy był właśnie Stefan Weliński. Dowiedziawszy się z żalem, że spotkanie autorskie tutaj nie jest przewidziane, wyciągnął ogryzek tępego ołówka z kieszeni i choć z trudnością nim operował, trzymając niezgrabnie w pooranych bruzdami palcach chłopskich, niemniej w notesiku twardą ręką, niczym rylcem wyrzeźbił prośbę, bo poczuł się skrzywdzony.

Że chłop potrafi ocenić wartość i ważność tego rodzaju imprez na wsi i że chce dogadać się z pisarzem potwierdza druga niewielka kartka w tymże notesiku, zapisana niesfornie tańczącymi literami, wyrażająca życzenie wsi Lutry, w województwie olsztyńskim: „Zebrani w świetlicy gminnej w Lutrach na wieczorze literackim proszą autora o stały kontakt z chłopami gminy Lutry, o częste odwiedzanie nas z korzyściami dla autora, który pozna cele i bolączki wsi tutejszej, a my, chłopi, skorzystamy, że będziemy pogłębiać kontakt z literaturą, podnosząc kulturalność wsi. — Goździcki — sekretarz PZPR, Kochanowski — sekretarz gminy, Nieścioruk — rolnik, Pieńkos — świetliczanka" — ponadto jeszcze cztery nazwiska miejscowych chłopów.

Chłop, który poznał pisarza zwłaszcza takiego co pisał o jego ciężkim bytowaniu, nie czuje się osamotniony i zapomniany, jest bratnia dusza, która alarmuje, która jest jego przyjacielem i ambasadorem. Chłop już wie i nikt mu nie zaprzeczy, że takiemu człowiekowi, jak pisarzowi może zaufać i powierzyć najtajniejsze przeżycia i najintymniejsze sprawy.

W świetle tych notatek, w świetle ogromnego materiału, zawierającego wypowiedzi, uwagi, krytyki — słowem świateł i cieni, składających się na dokument wspaniałej akcji, jakże dziwnym wydaje się twierdzenie sprzed dwu laty poniektórych „kulturników", wołających, że wiele wody upłynie w warmijskiej Łynie, zanim chłop stanie się świadomym uczestnikiem spotkań autorskich.

Na innym spotkaniu literackim, we wsi Kabiny, chłop wyznaje pisarzowi, że trud, jaki podjęli autorzy książek, objeżdżając Polskę, będzie wtedy celowy, jeżeli przyjdzie do literata uczestnik spotkania — chłop czy robotnik i powie mu: „proszę pana, przeczytałem książkę pana, ale to mi się nie podobało, a tamto podobało. Niech pan nie pisze, że „malina rozwija kłosy", albo że „świeżo zaorana ziemia parzy stopy", bo w to chłop nie uwierzy, bo to nieprawda".

Piętrzy się przede mną na biurku stos materiałów, dowodów rzeczowych uzbieranych podczas kilkuletniej wędrówki z pisarzami po Warmii i Mazurach. Akcja spotkań autorskich na terenie najbardziej bodaj zaniedbanego kulturalnie województwa olsztyńskiego przeszła już próbę ogniową i stała się potrzebą wsi, fabryk i miast na tych ziemiach. Ankiety wypełniane przez kierowników bibliotek przed i po spotkaniach autorskich wykazują stały wzrost czytelników. Uczestnik spotkań, dla którego do niedawna lektura wydawała się bezproduktywnie straconym czasem — dziś nabrał „gustu" do książki, a punkty biblioteczne po wsiach nie próżnują.

Znam robotnika-brygadzistę tartacznego w Reszlu, który jest stałym uczestnikiem spotkań autorskich. Interesuje się książkami i dużo czyta. Pozostawiłam mu kiedyś książkę Newerlego „Chłopiec z Salskich stepów". Po paru miesiącach zjawia się u mnie w biurze w Olsztynie i przeprasza za przetrzymanie książki, która tak mu przypadła do gustu, że nie mogąc w małym miasteczku, Reszlu, dostać tej książki na własność, przepisał ją całą. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe!...

Sala, na której panuje głuche milczenie zamiast ożywionej dyskusji po skończonej prelekcji pisarza nie dowodzi martwoty lub braku zainteresowania. Czytelnik nie ma jeszcze odwagi potrzebnej do zabierania głosu i do dyskusji. Na spotkaniu autorskim w Sanatorium dla płucno-chorych pod Olsztynem jedna z kuracjuszek zwierzyła mi się, że chciałaby porozmawiać z poetą Fiszerem, ale krępuje ją to, że nie umie ładnie mówić. Istnieje więc jeszcze wśród uczestników zdanie, że z pisarzami trzeba umieć rozmawiać jakimś ładnym językiem.

Uczestnik spotkań nie wyzwolił się jeszcze z kręgu jakichś wewnętrznych oporów i kompleksów niższości.

Afisze w Dobrym Mieście, powiat Lidzbark, zapowiadają spotkanie literackie z Jalu Kurkiem. Późna jesień 1949 r. Ostry deszcz ze śniegiem siecze twarz, ciemno, wicher gwiżdże pomiędzy cmentarzyskiem ruin zniszczonego miasteczka. Brniemy z autorem po rozmiękłej mazi błotnej do teatru. Naraz z jezdni dolatuje uszu naszych zwielokrotniony szmer i chlupot wody. Oto obok nas w czarnej, gęstej ciemni przewija się wąż rowerów. To młodzież wiejska ze wsi Orzechowo, odległej od Dobrego Miasta o 10 km, pokonując wszystkie złe moce jesieni śpieszy na spotkanie z pisarzem.

Jesteśmy ze Stanisławem Łukasiewiczem w Hucie szkła w Działdowie. Robotnicy w żarze pieca buchającego roztopionym szkliwem zanurzają długie tyczki w płynnej ognistej cieczy i zgrabnie przenoszą ją do form. Godzina 16-ta, syrena... Robotnice i robotnicy tłumnie kierują się ku wyjściu, lecz oto... jak spod ziemi wyrastamy wśród nich w portierni. Kobiety umykają nam spod rąk. Nie ma mowy o pozostaniu: „do żłobka po dziecko", „chora córka w łóżku", „zebranie rodzicielskie w szkole", itd. itd. Aż nagle przyglądają się nam życzliwie i te najbardziej oporne robotnice czynią w tył zwrot i kierują się do świetlicy. Autor mówi o roli książki w Planie 6-letnim. Zainteresowanie na sali wzrasta. Gdy milknie głos pisarza, matki wdają się z nim w pogawędkę i już wcale nie śpieszą, bo... ostatecznie dziecko w żłobku ma opiekę, a córką zajmie się siostra... Mają tyle do powiedzenia literatowi, bo dzieci ich czytają, pragną się uczyć, a książki takie drogie, a podręczników tak mało... Spotkanie przeciąga się ponad czas przewidziany, autora czeka następna prelekcja, a dookoła cisną się tacy, którzy chcieliby podyskutować z pisarzem.

Mimo nieefektownych pozorów, nowy konsument spotkań autorskich jest świadom swych życzeń, pragnień i wymagań.

Oto w Lidzbarku Warmijskim przyznaje się 18-letnia uczennica: „Wieczory autorskie" przestały być dla mnie tylko rozrywką. Zaczynają mię uczyć; zaczynam lepiej rozumieć książkę i trud pisarza".

Uczeń Liceum Pedagogicznego w Mrągowie Tadeusz Hołownia pisze: „Nie może, moim zdaniem, wieczór literacki wyglądać w ten sposób, że autor tylko czyta aż do znudzenia. Niekorzystne to jest dla uczestników wieczoru, obiecujących sobie tak wiele po spotkaniach literackich. Chcemy dużo dowiedzieć się o pracy pisarzy. Młodzież sama dużo czyta. Chodzi o nowy sposób uczenia się i zdobywania wiedzy".

Każdy z literatów, kto był na Warmii i Mazurach i kto zetknął się z chłopem, robotnikiem i młodzieżą, z ich zaciekawieniem i pragnieniem poznania czegoś nowego — potwierdzi niewątpliwie powyższe wypowiedzi własnymi spostrzeżeniami.

Na poranku literackim w Ośrodku Wychowawczym TPD w Bartoszycach młodzież w gromadzie około 800 osób z zainteresowaniem słucha fragmentu z książki „Dzieci wśród nocy", odczytywanego przez Irenę Krzywicką. Dzieje Piotrusia, Marty i małego Pipsztaka znane są już młodzieży. W dyskusji młodzi uczestnicy podsuwają autorce nowy pomysł do drugiego tomu jej powieści. Młodzież życzy i „domaga się", by pisarka zmieniła swój pomysł pierwotny i małego Pipsztaka po wielu sierocych perypetiach powojennych umieściła w Ośrodku TPD w Bartoszycach, gdzie wyrasta on na nowego człowieka o światopoglądzie marksistowskim. Natomiast siostra jego Marta powinna skończyć szkołę pielęgniarek i pracować w charakterze higienistki wśród mikrusów TPD. Pomysł tak roznamiętnia młodzież, która snuje dalsze losy Pipsztaka i tak przemawia za przyjęciem, że pisarce nic już nie pozostaje, jak tylko obiecać, że zgadza się zmienić pierwotną koncepcję i zapowiedzieć swój przyjazd do Ośrodka w celu zapoznania się z życiem młodzieży.

Zbliżamy się wygodnym Chaussonem do Giżycka. Pisarz ma spotkanie w fabryce konserw rybnych. Wrześniowe słońce przebija niebieską mgiełkę jesienną i jak złoty dukat nurza się w jasnym błękicie wielkich jezior mazurskich. Po drugiej stronie małej zatoczki drzemią w dosytnym rozmarzeniu dzikie łabędzie. Autor przez okno samochodu podziwia piękno krajobrazu i zastanawia się, dlaczego na tej, tak malowniczej ziemi nie osiedlił się dotychczas ani jeden pisarz. A przecież warmijsko-mazurskim szlakiem spotkań autorskich przewinęło się ich koło czterdziestu, dając się poznać przeszło 150 tysiącom uczestników. Taka różnorodność typów ludzkich, takie bogactwo konfliktów, takie bogactwo piękna przyrody, tyle tematów, leżących odłogiem i czekających na należne im miejsce w literaturze Polski Ludowej. Dziw, że dotąd Warmia i Mazury nie ściągnęły ani jednego pisarza. A przecie Stefan Weliński, niczym rylcem wyrzeźbił swą prośbę do pisarzy polskich.

Irena Kropielnicka.

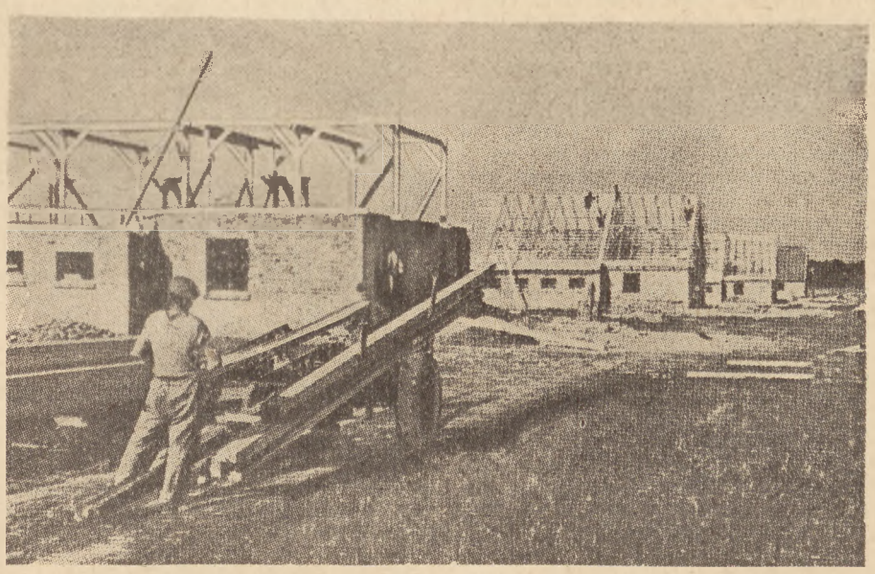

Budowa nowoczesnej osady rolnej w województwie szczecińskim

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

Artykuł dyskusyjny

NOTATKI O OPERZE

W czasopismach poświęconych sprawom kultury niezmiernie rzadko spotykamy artykuły dotyczące opery polskiej. Nawet w fachowych pismach muzycznych ukazało się na przestrzeni pięciu lat zaledwie kilka artykułów dotyczących opery, i to z zakresu sprawozdań lub historii opery. Ani jeden artykuł nie dotyczył palących zagadnień rozwoju opery w Polsce Ludowej. Jedyny artykuł analityczny znalazł się w czasopiśmie poświęconym sprawom teatru dramatycznego (J. Jasieński: „Opera Narodowa w nowej szacie". Teatr Nr. 5 Maj 1950), a dwugłos o operze Witolda Rudzińskiego i Zofii Łosakiewicz („Odrodzenie" Nr. 50 Grudzień 1949) poruszający w sposób dyskusyjny palące zagadnienia opery w Polsce, nie doczekał się najmniejszego oddźwięku na łamach naszych pism fachowych.

Zupełnie zrozumiałe, że nie odświeża się obecnie, tak namiętnie dysputowanego w okresie międzywojennym w Polsce, a ciągle jeszcze modnego w zachodnich krajach kapitalistycznych problemu: „Czy byt opery jest uzasadniony". Sprawa kryzysu popytu na operę nie istnieje w państwie ludowym, gdzie sztuka stała się własnością szerokich mas, gdyż opera jest, jak słusznie powiada I. Niestiew „najbardziej masową formą muzyki".

Tym bardziej jednak należałoby się zająć kryzysem artystycznym, jaki przechodzi polska opera, kryzysem, którego źródła tkwią w drobnomieszczańskich tradycjach teatru operowego. Olbrzymie przemiany społeczne, jakie dokonały się w Polsce, znalazły już swoje odbicie we wszystkich dziedzinach sztuki. Dramat, literatura, muzyka estradowa, balet, plastyka, zostały oddane w służbę masom odbiorców i stają się potężnym instrumentem wychowawczym. W jednej tylko operze zaszły tak nieznaczne zmiany (zarówno w układzie repertuaru, jak i w koncepcji odtwórczej, oraz sposobie wykonania), że prawdę mówiąc nie zmieniła ona wiele swego oblicza, pozostając nadal sztuką schlebiającą przeważnie gustom drobnomieszczańskiej publiczności. Wprawdzie schillerowska inscenizacja „Halki", a częściowo też poznańska realizacja „Borysa Godunowa", wrocławskie przedstawienia „Czarta i Kaśki" i „Złotego Kogucika" oraz „Flis" Opery Robotniczej wskazały drogę, w kierunku której powinni skierować się realizatorzy operowi, jednak spektakle te nie doczekały się dostatecznie dogłębnej analizy i krytyki na łamach pism fachowych, ani też szerszej dyskusji i należy się obawiać, że skutkiem tego mogą się nie stać punktem zwrotnym.

W ubiegłym sezonie teatry operowe zostały upaństwowione. Dzięki temu powstały tak dogodne warunki dla rozwoju opery, jakich jeszcze dotychczas w Polsce nie było. Zobowiązuje to tym bardziej kierownictwo oper do skoncentrowania wszystkich wysiłków w kierunku wyzbycia się dotychczasowych nawyków „wampuki" operowej, wydźwignięcia opery na odpowiedni poziom artystyczny i stworzenia z niej środka wychowawczego tak z punktu widzenia polityczno-społecznego, jak i upowszechniania kultury muzycznej, teatralnej, plastycznej i choreograficznej.

Aby nie być gołosłownym w zarzutach i chaotycznym we wnioskach, postaram się na podstawie oglądanych spektakli (na 95 premier i wznowień, wystawionych przez polskie teatry operowe od roku 1945, oglądałem 68 spektakli) wydobyć „błędy typowe", uporządkowawszy całość zagadnienia na sprawy dotyczące 1) repertuaru, 2) koncepcji realizatorskiej, 3) wykonawców.

I. REPERTUAR.

Polskie teatry operowe z podziwu godną wytrwałością trzymają się „żelaznego repertuaru", obracając się w zaklętym kręgu kilkunastu ogranych oper w wyświechtanej inscenizacji. W niektórych teatrach zdarzają się trzy a nawet czterokrotne wznowienia tej samej opery w nowej oprawie scenicznej i nowej obsadzie, ale z tą samą koncepcją inscenizatorską. Olbrzymie sumy pieniędzy i długie okresy czasu marnuje się bezcelowo na przygotowanie nowych dekoracji, kostiumów, przygotowanie solistów po to, aby widzowi dać zasadniczo to samo przedstawienie, tylko w kolorze zielonkawym zamiast żółtym, z drzwiami w głębi zamiast z boku, ze śpiewakiem X zamiast Y.

Od roku 1945 do chwili obecnej na sześciu scenach operowych (wliczam tu również krótki żywot opery krakowskiej i jeszcze krótszy niewykorzystanej a dobrze się zapowiadającej „Opery Robotniczej") wystawiono łącznie 95 premier, w tym 5 razy „Rigoletto", 5 razy „Fausta", 6 razy „Toscę", 5 razy „Madame Butterfly", 6 razy „Cyrulika Sewilskiego", 9 razy „Straszny Dwór", 10 razy „Halkę" itd. itd.

Zaledwie w siedmiu wypadkach „zaryzykowano" odstępstwo od ustalonego „tradycją" szablonu repertuarowego. (Opera Poznańska: „Krakowiacy i Górale" Kurpińskiego, „Pocałunek" Smetany, „Borys Godunow", Opera Wrocławska: „Czart i Kaśka" Dworzaka, „Złoty Kogucik" Rimskij-Korsakowa, Opera Śląska: „Don Pascuale" Donizettiego i „Dama Pikowa" Czajkowskiego.)

Zrozumiałe, że każdy teatr operowy powinien mieć w swoim repertuarze pewien zasób klasycznych dzieł operowych — nie znaczy to jednak, ażeby bezplanowo odgrzewać w kółko kilka tych samych oper. Przecież gdyby teatry dramatyczne grały wyłącznie Szekspira i Moliera nie spełniałyby również swego społecznego zadania. Poza tym kierownictwa teatrów operowych zdają się zapominać o tym, że Verdi nie napisał tylko „Traviatty" i „Rigoletta", a Puccini tylko „Tosci" i „Madame Butterfly". Dla odświeżenia repertuaru operowego i wyrównania przepaści, jaka dzieli naszą operę od innych dziedzin sztuki, należałoby zwrócić jak najbaczniejszą uwagę na rozszerzenie repertuaru o nowe pozycje, wartościowe tak pod względem artystycznym jak i wychowawczym. W tym celu należy:

1. **Sięgnąć po mniej ograne dzieła klasyków**, a zwłaszcza po dzieła twórców narodowych (jak kompozytorzy rosyjscy do Rimskij-Korsakowa włącznie, kompozytorzy czescy itd.).

Należałoby również, nie zadawalając się wyłącznie operami powstałymi w 19 i 20 wieku, śmiało włączyć do repertuaru opery klasyków niemieckich, oraz opery staro-francuskie i staro-włoskie, do dzieł wielkiego Monteverdiego włącznie. Z materiałem nutowym nie będzie tu większego kłopotu, gdyż znajduje się on w wielu bibliotekach muzycznych, natomiast bezwzględnie konieczne jest odmłodzenie a nawet gruntowna zmiana tłumaczenia librett, które w większości oper wołają o pomstę do nieba!

2. **Wydobyć z zapomnienia stare polskie opery.** Nie będę tu wyliczał wszystkich pozycji, godnych uwagi, bo jest ich z górą 200, przypomnę tylko opery komiczne Macieja Kamieńskiego, Antoniego Wejnerta, Jana Stefaniego, Józefa Damse, a przede wszystkim opery Karola Kurpińskiego i zapomniane dzieła Stanisława Moniuszki.

Niezawodnie materiał muzyczny starych oper wymagałby w wielu wypadkach gruntownego przepracowania (proceder w stosunku do oper u nas rzadko stosowany, praktykowany natomiast często za granicą, jeśli wspomnę tylko Mussorgskiego, Smetanę, starych Włochów itd.). Wdzięczne pole do popisu znajdą tu ci kompozytorzy, którzy specjalizują się w odkrywaniu piękna dawnej muzyki polskiej. Zrozumiałe również, że stare opery wymagają żmudnych przeróbek, czy nawet zmiany tekstów librett. Pracy tej powinni się podjąć nasi wybitni poeci, którzy tracą nieraz energię i czas na przeróbki mało wartościowych operetek i „sztuczydeł z muzyczką" nie wartych odgrzewania i naróżowywania. Trud opracowywania starych oper na pewno sowicie się opłaci: przywrócimy w ten sposób naszej muzyce nie jedną cenną pozycję, doszukamy się niezawodnie dzieł ciekawych z punktu widzenia historii rozwoju myśli postępowej w Polsce.

Orszak weselny, scena z aktu II opery „Halka" w Poznaniu

3. **Wprowadzić nareszcie na scenę współczesne, realistyczne opery obce!** Przede wszystkim należałoby sięgnąć po współczesną operę radziecką. Opery Knippera, Mołczanowa, Spadawekkia, Żukowskiego, Szaporina, Kabalewskiego, Bałanczywadze, Kriukowa, Kowala, Dzierżyńskiego ,Chrennikowa, Paszenki, Mejtusa, czy też liczne opery narodowe republik radzieckich podziałałyby orzeźwiająco na zatęchłą atmosferę repertuaru naszej opery. Również dzieła operowe kompozytorów czeskich (Borkowec, Sokurow, Ridky, a zwłaszcza Janaczek i E. T. Burian), węgierskich (Kodaly, Bartok, Erkel) i bułgarskich (Christow, Pipkow) nie doczekały się jeszcze realizacji na scenach operowych Polski. Nasi realizatorzy operowi powinni się również zainteresować nowym dziełem operowym kompozytora niemieckiego Karola Orffa „Antygona", które otrzymało w Niemieckiej Republice Demokratycznej nagrodę im. Goethego.

Termin ukazania się obcych oper współczesnych na polskich scenach zależeć będzie przede wszystkim od tego, kiedy nasi literaci otrzymają zamówienia na tłumaczenie librett i jak prędko się z tej pracy wywiążą.

4. I na koniec sprawa najważniejsza — **rodzimej twórczości operowej.** Sprawa ta nie przedstawia się wesoło. Od czasów Moniuszki żadne właściwie dzieło operowe nie wytrzymało próby czasu. Wykazały to najlepiej niezbyt fortunne próby wstawienia do repertuaru oper Żeleńskiego. Może bliższe byłyby nam opery Statkowskiego (Maria), Joteyki, Różyckiego, Walek-Walewskiego, Nowowiejskiego i wznowienie tych dzieł warte byłoby trudu — niemniej musimy stwierdzić, że w przeciwieństwie do bogatej twórczości XVIII i XIX wieku, polska twórczość operowa w wieku XX jest niezwykle szczupła, a współczesna twórczość dotychczas nie istniała. Słyszeliśmy wprawdzie o operze Romana Palestra („Żywe Kamienie"), A. Marczewskiego („Daniel" i „Legenda") i o fragmentach oper innych współczesnych kompozytorów, ale dzieła te nie mogły przyjąć kształtu scenicznego i sytuacja wyglądała na tym tak ważnym odcinku po prostu tragicznie. Nareszcie w bieżącym roku sprawa współczesnej polskiej twórczości operowej zrobiła niespodziewany krok naprzód, gdyż równocześnie awizowane są na Festiwal Współczesnej Muzyki Polskiej 3 nowe opery: „Janko Muzykant" Witolda Rudzińskiego do libretta, napisanego wg. noweli H. Sienkiewicza przez Stan. Wygodzkiego i T. Borowskiego (dla Opery Śląskiej), „Bunt Żaków" T. Szeligowskiego do libretta R. Brandstaedtera (dla Opery Wrocławskiej), oraz „Andrzej z Chełmna" Piotra Rytla.

A więc (nie wdając się w ocenę wartości nowych oper) dobry początek jest już zrobiony. Teraz należy wytężyć wszystkie siły, aby te trzy „jaskółki zrobiły wiosnę" i za pierwszymi od wielu lat operami polskimi posypały się następne.

Może wreszcie kompozytorzy nasi zrozumieją, że w tej chwili opera jest obok pieśni masowej najpotrzebniejszą formą muzyki. Nasz stan posiadania w tej dziedzinie jest po prostu kompromitująco mały. Wystarczy przypomnieć, że np. w Czechosłowacji w jednym tylko sezonie wystawiono 4 prapremiery operowe, na Węgrzech 4 prapremiery, w Bułgarii 3, we Włoszech co roku ukazuje się 5—8 nowych oper, nie mówiąc już o Z.S.R.R., gdzie odbyło się już 79 prapremier operowych, a w tej chwili kompozytorzy radzieccy mają na warsztacie 28 oper. Aby uaktywnić polską twórczość operową, nie wystarczy naturalnie poprzestać na gołosłownych zachętach, gdyż praca nad operą jest niezwykle żmudna (wystarczy chociażby przypomnieć proste techniczne dane cyfrowe: 30 stron maszynopisu libretta, to 600 do 1000 stron rękopisu nutowego) i poza stroną artystyczną wymaga wielkiego nakładu sił i czasu. Dlatego też należy upewnić twórców oper (tak librecistów jak i kompozytorów), że praca ich nie pójdzie na marne. Aby nie szukać nowych dróg w organizacji twórczości operowej — należałoby i tu sięgnąć po wzory z Z.S.R.R. i stworzyć komisję oceny projektów librett i muzyki operowej. Komisja ta opiniowałaby zgłoszone projekty i rodzące się dzieła w poszczególnych stadiach tworzenia, celem zapewnienia wartościowym pozycjom (w okresie pracy nad nimi) prób kontrolnych ze śpiewakami, a po ukończeniu opery wystawienie jej na jednej ze scen operowych. Ponieważ okres tworzenia opery może trwać (nawet przy intensywnej pracy) parę lat, należałoby zabezpieczyć libreciście i kompozytorowi odpowiednie warunki tworzenia. Wokół tych zagadnień powinny zmobilizować swoje siły wszystkie zainteresowane instytucje, a więc Ministerstwo Kultury i Sztuki, Naczelna Dyrekcja TOF, ZAIKS, Związek Literatów, Związek Kompozytorów, Związek Pracowników Kultury, a przede wszystkim kierownictwa poszczególnych teatrów operowych.

Rozpocząć trzeba od rozpisania konkursu na libretto. Sprawa powstania dobrych librett jest niezwykle ważna. Pamiętajmy o tym, że połowa oper „przepadła" z powodu słabego libretta (m.in. opery takich kompozytorów jak Schuman i Schubert). Napisanie dobrego libretta nie jest rzeczą łatwą. Konieczna jest do tego znajomość praw sceny operowej, wokalistyki, proporcji poszczególnych elementów. Zasadniczo libretto powino się rodzić przy ścisłej współpracy literata, kompozytora i reżysera operowego, gdyż tylko z takiej współpracy może powstać prawdziwie muzyczny i sceniczny tekst słowny. Na takiej kanwie powstać dopiero może wartościowe dzieło operowe, w którym znajdziemy „nie muzyczne ilustrowanie tekstu, nie zewnętrznie obrazową rolę muzyki, ale prawdziwe i wielostronne wydobycie wszelkimi środkami muzycznymi podstawowej idei dramatycznej." (Czajkowski: o libretcie). Pisząc libretta nie trzeba uciekać się wyłącznie do tematów historycznych, bać się współczesności na scenie operowej. Doświadczenia radzieckie wykazały, że patos naszych dni, bohaterstwo walki i pracy, wielkie przełomy i przemiany społeczne są niemniej frapującym tematem libretta operowego jak kostiumowe historie sprzed wielu lat. (Nie zapominajmy, że większość oper kostiumowych pisana była przez kompozytorów, noszących na codzień te same ubiory, co bohaterowie ich oper.)

Na scenę naszych teatrów dramatycznych wkroczyli już zwycięsko bohaterowie naszych czasów — robotnicy. Mimo powątpiewań niektórych kompozytorów, okazało się w Z.S.R.R., że forma dramaturgii operowej jest niezwykle odpowiednia do wyrażania współczesnych konfliktów i że scena operowa nie powinna pozostawać w tym wypadku w tyle za teatrem dramatycznym.

II. KONCEPCJA REALIZATORSKA.

Większość realizatorów oper stała dotychczas w Polsce na krańcowych stanowiskach — jedni (wywodzący się najczęściej z zespołów operowych) zwracali uwagę prawie wyłącznie na stronę muzyczną i wokalną, drudzy (reżyserzy z teatrów dramatycznwch) gwałtem wciskali operę w formy właściwe teatrowi dramatycznemu, lekceważąc prawa ruchu muzycznego.

Realizm sceniczny w takiej formie, jaką pragnęlibyśmy widzieć w dramacie, jest sprzeczny z prawami sceny operowej, gdyż ruch i gest śpiewaka operowego musi być uzależniony od rytmu, linii melodycznej i podziału na frazy muzyczne. Reżyser operowy w swej pracy musi się oprzeć przede wszystkim na tekście muzycznym (związanym przecież nierozłącznie z librettem), podporządkowując mu ruch sceniczny. Dlatego też analiza tekstu musi być prowadzona równolegle z analizą muzyki i uzgodniona z koncepcją muzyczną dyrygenta, a inscenizator i reżyser operowy musi łączyć wiedzę teatralną z wiedzą muzyczną.

Z dotychczasowych realizacji operowych, jedynie poznańska „Halka" i bytomski „Don Pascuale" (każde w swoim stylu) wykazywały nierozerwalne powiązanie myśli muzycznej z koncepcją dramatyczną i równowagę między stroną widowiskową, muzyczną i prawdą sceniczną. Inne, nawet dobre realizacje miały wyraźnie zachwianą tę równowagę. I tak, jeśli mamy sięgać do przykładów z ostatnich miesięcy: na poznańskim „Borysie Godunowie" wycisnęła swe piętno potężna indywidualność Waleriana Bierdiajewa, zbyt krańcowo przechylając równowagę realizacji w stronę supremacji muzyki; reżyser Bardini w bytomskiej „Damie Pikowej" przeniósł ciężar na stronę sceniczną, lekceważąc często prawa muzyczne, a nad wrocławskim „Złotym Kogucikiem" zaciążyła wybujała koncepcja widowiskowa i bogactwo oprawy scenicznej Stanisława Jarockiego.

Wspólną, wysoce dodatnią cechą wspomnianych wyżej realizacji („Halka", „Borys Godunow", „Dama Pikowa", „Złoty Kogucik"), było wydobycie elementów ideowo-politycznych — rzecz dotychczas zupełnie zaniedbywana w polskich inscenizacjach operowych.

Odkrywcze pod tym względem było potraktowanie scen zbiorowych w schillerowskiej koncepcji „Halki". Jedynie na ujęciu niektórych postaci solowych, znać było pozostałości „tradycyjnej sztampy operowej". Spektakl ten stał się argumentem, którym szermują optymiści, twierdząc, że opera polska za jednym zamachem znalazła się na drodze do doskonałości. Niestety, spojrzawszy trzeźwo na sytuację realizacji operowej musimy uznać opieranie wszystkich nadziei na jednym, odosobnionym spektaklu co najmniej za przedwczesne.

Brak reżyserów operowych, łączących głębokie wiadomości muzyczne z wiedzą sceniczną nie nastraja wcale optymistycznie, zwłaszcza, że szkolenie nowych kadr reżyserów operowych nie ruszyło zupełnie z martwego punktu.

Należy więc czym prędzej przy istniejących studiach, czy szkołach operowych powołać do życia wydziały reżyserskie, a zanim wyjdą z nich pierwsi reżyserzy operowi, powierzać realizację oper równolegle dwom reżyserom: dramatycznemu i operowemu, przy czym muszą z nimi współpracować znacznie ściślej, niż to miało dotychczas miejsce, dyrygent i kierownik chóru, choreograf i scenograf, rozpoczynając od ustalenia wspólnej koncepcji, wspólnie prowadzonej analizy, prób sytuacyjnych, a doprowadzając do wspólnie „postawionego" spektaklu.

Żdanow powiedział, że opera jest wyższą, syntetyczną formą sztuki. Jeżeli więc nie dysponujemy jeszcze uniwersalnymi realizatorami zdolnymi objąć całość zagadnienia, należy tymczasem stworzyć zasady zbiorowej realizacji, dającej gwarancję zrównoważenia wszystkich elementów.

Skompletowanie takiego wysoko kwalifikowanego zespołu realizatorskiego nie jest łatwe, dlatego powinno się wykorzystując nielicznych fachowców „stawiać" niewielką liczbę premier operowych, stojących za to na jak najwyższym poziomie i następnie wymieniać je między istniejącymi teatrami operowymi.

III. WYKONAWCY

„Problem solistów" narasta w Polsce z każdym sezonem. Brak tradycji operowych, spowodowany rabunkową gospodarką śpiewakami i niskim poziomem opery w okresie międzywojennym, emigracja co lepszych sił z Polski, wyniszczenie i tak bardzo szczupłych kadr śpiewaczych w czasie wojny, a przede wszystkim mała ilość prawdziwie wartościowych pedagogów, sprawiają, że stan wokalistyki polskiej jeszcze nie przedstawia się zadawalająco.

Prawdziwie wysoko kwalifikowanych solistów, łączących warunki głosowe i sceniczne z umiejętnościami śpiewaczymi, scenicznymi i muzykalnością, możemy w Polsce wyliczyć na palcach. Talentów i materiałów głosowych mamy niemało, ale nawet jeżeli młodzi śpiewacy mieli to wyjątkowe szczęście i trafiwszy na dobrego pedagoga, wyszli ze szkoły z jakimi takimi umiejętnościami wokalnymi, to najczęściej po krótkim już okresie pobytu w teatrze operowym deformują emisję, męczą głosy i tracą to wszystko, co nabyli w szkole. Powodem tego jest zupełny brak opieki nad głosami w naszych operach, które nie dysponują korektorami głosu. Stan taki jest wprost karygodny, a zaangażowanie wysoko kwalifikowanych pedagogów do oper rzeczą najpilniejszą.

Drugim powodem dewastacji materiałów głosowych jest zbytnie natężanie głosu na scenie. Słuchając większości nawet już znanych śpiewaków operowych odnosi się wrażenie, że nie umieją oni w ogóle śpiewać „piano". Łączy się to naturalnie z brakiem doświadczonego pedagoga w operze, który by nie pozwolił na nadwerężanie głosu, ale jest przede wszystkim winą reżyserów, uważających, że ekspresję wydobyć można jedynie krzykiem, oraz dyrygentów, którzy traktując głos w sposób instrumentalny, a orkiestrę w sposób symfoniczny, nie dbają o równowagę między brzmieniem głosu i orkiestrą, ani o granice wytrzymałości strun głosowych.

Kardynalnym błędem naszych solistów jest poza tym fakt, że zwracając uwagę wyłącznie na stronę wokalną i muzyczną, nie starają się nawet zrozumieć treści śpiewanych słów. Stąd zupełne nieporozumienia dynamiczne, błędy w ekspresji, śpiewanie recitatívów tak samo „wielkim" głosem, jak arie i t. d. Niechlujne zaniedbania w dykcji powodują często bagatelizowanie sensu libretta, a poza tym odbijają się bardzo szkodliwie na emisji głosu.

Główną bolączką solistów jest naturalnie gra sceniczna. I tutaj, za koszmarne wprost przykłady „sztampy" i „drewniactwa" solistów należy obwiniać pedagogów i reżyserów.

Niezmiernie ważnym środkiem wychowawczym jest dostarczenie młodym śpiewakom odpowiednich wzorów. Dlatego też nasi najlepsi i najbardziej doświadczeni śpiewacy powinni brać udział w spektaklach z młodym narybkiem śpiewaczym, szkolić go, instruować, poprawiać. Cenne są również występy znakomitych śpiewaków radzieckich ,bułgarskich i czeskich, od których nasza młodzież operowa powinna się uczyć wszystkich elementów śpiewu operowego i gry scenicznej.

Ciekawe i pocieszające zjawisko obserwujemy w chórach, które do niedawna jeszcze zupełnie martwe — teraz ożyły i w ruchu scenicznym znacznie zdystansowały solistów. Kapitalny chórek służących w „Don Pascuale" (Opera Śląska), przejmujące sceny zbiorowe w „Halce" i „Borysie Godunowie" (Opera Poznańska), pełne życia chóry w „Złotym Koguciku" (Opera Wrocławska), świadczą o tym, że chóry są pierwszym elementem, zwiastującym możliwość reformy opery polskiej.

Droga do przebudowy opery w Polsce nie jest łatwa. Sprawa jest jednak zbyt poważna, aby załamując ręce, stać bezczynnie, lub optymistycznie spoglądając na sporadyczne wypadki, mogące nas zadowolić, czekać, aż wszystko „samo się zrobi".

Reasumując — najpilniejsze zadania, jakie stoją przed polską operą, są następujące:

1. Zwrócenie uwagi na stronę wychowawczą dzieł operowych, rozszerzenie repertuaru o wartościowe pozycje polskie i obce już istniejące, oraz przede wszystkim stworzenie jak najlepszych warunków dla twórców nowej, polskiej opery.
2. Utworzenie wydziału reżyserskiego przy istniejących warsztatach i studiach operowych.
3. Tworzenie zespołów realizatorskich dla zbiorowego opracowywania realizacji operowych i wymiana spektakli między teatrami operowymi.
4. Roztoczenie jak najszerszej opieki nad śpiewakami przez korektorów głosu, oraz dostarczenie młodym solistom jak najlepszych wzorów (także za pomocą płyt gramofonowych).

Wokół tych zagadnień powinni się zmobilizować ci wszyscy, którym jest droga sprawa opery, „najbardziej masowej formy muzyki".

Wojciech Dzieduszycki

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

NA NARODZINY CÓRECZKI U PRZYJACIÓŁ

Jerzemu J.

W czas światowej zawiei —
walki, pracy, entuzjazmu i męki,
Przyjacielu, córeczce maleńkiej
daj na imię imię K o r e i!...

Niech jak tamta, słoneczna, rośnie
— Wam na radość, ludziom na chwałę,
i szczebioce o wielkiej wiośnie,
kiedy w dużą dojrzeje z małej.

Niech, ilekroć się do Was zaśmieje
i jak ptaszek zakwili miękko,
przypomina Ci tamtą Koreę
mniej szczęśliwą, lecz dumną i piękną.

Niech jak z rudy żelaznej, najszczerszej,
z czystych kruszców będzie jej młodość,
jak najprostsze strofy tych wierszy
urodzone z miłości swobody.

Byś, ilekroć w piorunach burzy
wejdzie w serce jak w dom nadzieja,
mógł tak wołać do córki już dużej
jak my dzisiaj: K o r e a!... K o r e a!...

TADEUSZ KRUK

SZLAKIEM PIĘCIOLATKI

1.

Reportaż jest gatunkiem stosunkowo nowym. Powstał wraz z nowoczesnym czasopiśmiennictwem. Podobnie, jak ono, jest wytworem bohaterskiego okresu burżuazji. Wywodzi się z opisów podróży i memuarów kupieckich, z kroniki aktualnych politycznych wydarzeń i wypadków ulicznych w rubryce „z dnia", z wiadomości giełdowych i gospodarczych. Z rodzajów piśmiennictwa, w których młoda burżuazja wypowiadała całe bogactwo, zapobiegliwość, praktycyzm i dynamikę życia klasy wstępującej. Ale niebawem wzbogacony bourgeois zapragnął sztuki monumentalnej, dalekiej od trosk życiowych. Reportaż nie doczekał się nobilitacji ze strony oficjalnych akademickich reprezentantów wyszukanych gustów bourgeois. Pozostał czymś „gorszym" od „normalnej" literatury, w najlepszym wypadku nieistotnym jej marginesem: pisarze uprawiali go jedynie koniunkturalnie, z niechęcią i świadomością odwalania czarnej roboty, bo reportaż nie gwarantował nieśmiertelności. W społeczeństwie burżuazyjnym starzał się wyjątkowo szybko. I nic dziwnego. Klasa, której grozi niechybna zagłada, nie żywi szczególnego kultu faktów.

Godność przywrócił reportażowi proletariat. Poetyka realizmu socjalistycznego nie wartościuje gatunków literackich. Reportaże pisywali protoplaści i twórcy literatury radzieckiej od Gorkiego i Serafimowicza począwszy. Dzisiaj trudno byłoby znaleźć radzieckiego pisarza, który by nie uprawiał tej gałęzi piśmiennictwa. A czyni to z tym większym powodzeniem, że posiada znakomite wzory w przeszłości, wzory, które można by nazwać klasycznymi: Sałtykow-Szczedrin i Gleb Uspienski, Czechow i Korolenko. Ale w pierwszym okresie po rewolucji nie obeszło się w tym względzie bez jednostronnych przejaskrawień. Osławione „proletkultowskie" tendencje objawiły się na terenie literatury w formie opinii o reportażu jako o jedynym gatunku, który dzięki niewielkim obciążeniom tradycji i ascetycznej szacie formalnej, zdolny jest wyrazić wielkość rewolucji i patos socjalistycznego budownictwa. Te szkodliwe, typowo likwidatorskie tendencje musiały zakończyć się niepowodzeniem. Całej prawdy o rewolucji i nowej radzieckiej rzeczywistości nie dało się wtłoczyć w ramy reportażu. Przeciwstawienie było zresztą fikcyjne i fałszywe. W rzeczywistości bowiem między „literaturą piękną" a reportażem nie zachodził stosunek sprzeczności, lecz jedynie podział funkcji w ramach jednej i niepodzielnej literatury. Rozwój literatury radzieckiej potoczył się dwoma nurtami; nurtem gatunków tradycyjnych i nurtem reportażu. Ale nie były to więcej nurty antagonistyczne, lecz przenikające i uzupełniające się wzajemnie.

Doskonałym materiałem dla rozważań nad „specyfiką" reportażu jest wydana u nas niedawno książka Marietty Szaginian pt. „Szlakiem pięciolatki".

Podstawowym elementem reportażu są fakty. A więc: w leningradzkich zakładach im. Kirowa odbudowano tyle a tyle hal fabrycznych, osiągnięto tyle a tyle procent przedwojennej produkcji, tkaczka Wołkowa obsługuje tyle a tyle warsztatów jednocześnie itd. Materiał faktów zmienia się w zależności od tematu reportażu, który wskutek tego zahacza o najróżnorodniejsze dyscypliny naukowe: w „Nafcie baszkirskiej" jest to geologia, w „Zespołowym współzawodnictwie" organizacja pracy, w „Ziemia zakwitnie" biologia, w „Trzech portretach" metalurgia, botanika, geologia. Jest to właśnie płaszczyzna, na której reportaż zbliża się do prozy naukowej, stanowiąc w swych możliwościach potencjalnych uniwersal-kompendium wiedzy współczesnej. Faktografia decyduje o jego pierwszej funkcji, którą jest informacja.

Fakty nie występują w reportażu w oderwaniu, na podstawie dowolnie obranej zasady porządkującej. Fakty świadczą o czymś i mówią — i wyjaśnieniu tego, o czym mówią fakty, służą komentarze, będące drugim nieodzownym składnikiem reportażu. Komentarze wyjaśniają głębsze, ogólne znaczenie jednostkowych faktów, ustawiają je w szeregi rozwojowe, porządkują i lokalizują historycznie. Na tym polega wielka, światopoglądowa i polityczna funkcja reportażu.

Jest jeszcze jeden, niekonieczny, a niemniej istotny składnik reportażu. W zakończeniu „Nafty baszkirskiej" pisze autorka o trudnych warunkach mieszkaniowych, w jakich żyją robotnicy przemysłu naftowego. I — apel do kompetentnych władz o jak najszybsze rozwiązanie kwestii mieszkaniowej. Składnik ten — to postulaty. I stąd jeszcze jedna funkcja reportażu — bezpośredni wpływ, doraźne oddziaływanie na opisywany wycinek rzeczywistości.

Różnorodne kombinacje powyższych elementów określają jednorazowe, indywidualne oblicze poszczególnego reportażu. Przewaga czynnika faktograficznego zbliża go do sprawozdania lub szkicu informacyjnego. Taki charakter posiada „Odbudowa za-

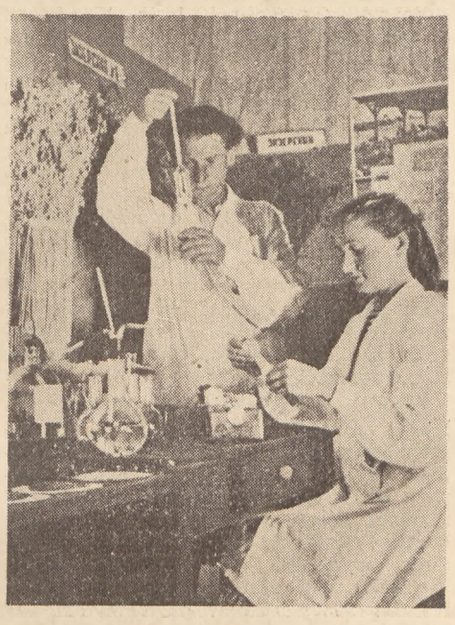

Kołchozowe laboratorium

kładów", „Węzeł magnitogorski", „Fabryka i kołchoz". Przewaga czynnika interpretacyjno - komentatorskiego zbliża go do prozy esseistycznej. Taki charakter posiada reportaż „O ruchu stachanowskim", „Bohater naszych czasów", „Literatura i nauka", „Myśli o demokracji radzieckiej". W skład tomu wchodzi również jeden szkic typowo postulatywny — „Wybór wariantu" — w którym autorka manifestuje swój udział w dyskusji nad wytyczeniem trasy nowego odcinka kolei żelaznej na Uralu.

Reportaż ukazuje człowieka od zewnątrz, na podstawie jego działań i wypowiedzi. Poza zasięgiem widzenia reportera pozostaje cały bogaty i skomplikowany świat jego myśli, uczuć, namiętności. Człowiek sprowadzony zostaje do ogólnikowych rysów schematu, ponieważ jego funkcja tutaj ogranicza się tylko do egzemplifikacji zagadnień i praw ogólniejszych. Oto dlaczego reportaż nigdy nie jest w stanie zastąpić powieści, która ukazuje rzeczywistość przede wszystkim w jej konkretnym wymiarze humanistycznym.

Ale też powieść nigdy nie zastąpi reportażu. Nie tylko dlatego, że ten ostatni, dzięki swemu autentyzmowi rzeczowo informuje o świecie, gdy powieść, u której podstaw leży fikcja literacka, daje raczej „esencję rzeczywistości", niż rzeczową o niej wiedzę. Po prostu dlatego, że reportaż w praktyce szybciej i czulej reaguje na drgnienia współczesności, albowiem nie wymaga owego dystansu wobec zjawisk, który tak czy inaczej konieczny jest dla uchwycenia przemian historycznych widzianych poprzez jednostkę. Reportaż pierwszy sygnalizuje zaczątki nowych procesów. Tym tłumaczy się fakt jego bujnego i masowego rozkwitu w okresach przełomów, kiedy wydarzenia płyną w tempie tak zawrotnym, że nie od razu ująć je można w kształt wizji artystycznej. Reportaż — to straż przednia literatury, raptularz nowych, chwytanych na gorąco doświadczeń, komunikat z pierwszej linii frontu walk o przyszłość. I na tym polega jego wielka, swoista, pionierska rola, gwarantująca mu w literaturze pełne równouprawnienie.

*) M. Szaginian: Szlakiem pięciolatki. Reportaże. PIW. 1949, nr. 362.

2.

Powojenna pięciolatka stalinowska, której termin upływa z końcem roku bieżącego, ma za zadanie zaleczenie ran, zadanych gospodarce Związku Radzieckiego przez ostatnią wojnę, „najbardziej niszczycielską z wojen, jakie znała historia". Główny nacisk położono w planie na rekonstrukcję linii komunikacyjnych i budowę ciężkiego przemysłu. Ale realizacja planu pozwoli nie tylko osiągnąć w tym względzie poziom przedwojenny, lecz także znacznie ten poziom przewyższyć. Gwarancją powodzenia jest wykorzystanie doświadczeń pięciolatek poprzednich oraz doświadczenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Czwarta pięciolatka — to dalszy krok na drodze unowocześnienia gospodarki ZSRR, dalszy postęp techniczny, nowy etap w rozwoju sił wytwórczych, bazy materialnej dla sprawiedliwego ustroju przyszłości — komunizmu.

„Podróż w przyszłość" — brzmi tytuł pierwszego, programowego niejako szkicu książki M. Szaginian. „Podróż w przyszłość" — to pachnie Wellsem, fantastyką techniczną, czarodziejskim wehikułem, wobec którego czas traci swą nieubłaganą moc nieodwracalności. W rzeczywistości zaś jest to najzwyklejsza podróż najzwyklejszym w świecie pociągiem. Dokąd? W głąb ziemi radzieckiej, na tereny, objęte rytmem surowej, żmudnej pracy dnia powszedniego, gdzie ludzie nie są jakimiś cudownymi istotami, zaspakajającymi swoje zachcianki przy pomocy czarodziejskiej różdżki Prospera, lecz zwykłymi, prostymi robotnikami o surowych rysach i spracowanych dłoniach. Gdzież tu obiecana kraina przyszłości? To właśnie ona. Trzeba umieć dojrzeć zarysy przyszłych budowli w stertach porzrzucanych cegieł, a mądrość i piękno człowieka epoki komunizmu w kącikach oczu czarnego, spracowanego hutnika. Bo w państwie socjalizmu szara codzienność zawiera wielkie perspektywy przyszłości. Małe realia powszedniego bytu mówią o wielkich prawach rozwojowych. Teraźniejszość odsłania oblicze czasów przyszłych. Ta gra perspektyw czasowych, powstała na skrzyżowaniu marzeń i dokonań, a wynikająca z niezwykłej, po raz pierwszy w historii świadomie kierowanej dynamiki rzeczywistości, pozwala pisarzowi radzieckiemu zwykłą wycieczkę reporterską określić patetycznym mianem „podróży w przyszłość".

I stąd szczególny charakter komentarza w szkicach reporterskich M. Szaginian. Komentarz jej interpretuje fakty nie tylko z punktu widzenia ich genezy i stanu współczesnego, ale i pod kątem przyszłości, pojętej bardzo szeroko. Dzięki temu urastają one do wymiarów głębokich uogólnień historycznych i filozoficznych, odsłaniających prawidłowości rozwojowe rzeczywistości radzieckiej, w której już nie walka klas stanowi siłę napędową społecznego rozwoju. Na przykładzie drobnych, codziennych wydarzeń z pola bitew o nową pięciolatkę ukazuje autorka wielkie realia i naczelne tendencje rzeczywistości kraju, w którym komunizm przestał być tylko spekulacją uczonego i przeczuciem poety, a stał się konkretną, cyfrową pozycją w szkicach inżyniera i planach ekonomisty. Cel marzeń jest tak bliski, tak uchwytny, że wyciska swe nieuchronne piętno na tysiącach maleńkich, niepozornych szczegółów życia codziennego.

Plakat radziecki o zalesieniu obszarów pustynnych

Na miejsce budowy Kujbyszewskiej elektrowni wodnej przybywają tysiące maszyn i materiał budowlany

Ja s tiemi,
kto wyszoł
stroit
i miest'
w spłosznoj
lichoradkie
budien —

pisał wielki poeta rewolucji i budownictwa socjalistycznego, Włodzimierz Majakowski.

I nieco dalej:

Ja
planow naszych
ljublju
gromadio,
razmacha
szagi sażeń...

„Planow gromadio" („planów ogromność") i „lichoradka budien" („gorączka dnia powszedniego") — te pojęcia pozornie tylko wykluczają się wzajemnie. Bo w kraju socjalizmu nie ma sprzeczności między teorią i praktyką. „Planów ogromność" — to teoria, wyprzedzająca praktykę, „gorączka dnia powszedniego" — to praktyka, realizująca wskazania teorii. Lecz poprzez „gorączkę dnia powszedniego" widać „planów ogromność". Pisał o tym Majakowski w okresie pierwszej pięciolatki, kiedy elementy kapitalistyczne były jeszcze w Związku Radzieckim dość silne. Pięciolatka obecna jest pięciolatką czwartą. Socjalizm stał się rzeczywistością. Z dnia na dzień zbliża się realizacja komunizmu. Toteż perspektywy ogólne drobnych, codziennych działań dostrzega dzisiaj nie tylko poeta w przeczuciu „komunistycznego daleko". Dostrzega je również analityczna myśl reportera, czerpiąca swój materiał nie z marzeń i wyobraźni, lecz z rzeczowej, konkretnej wiedzy o faktach.

W Związku Radzieckim plan już na obecnym etapie służy przede wszystkim walce z przyrodą, o jak najpełniejsze podporządkowanie jej twórczych sił interesom człowieka i jak najwydajniejszą eksploatację jej bogactw. Stąd płynie znamienny rys, właściwy głównie pięciolatce ostatniej: masowość, ludowy charakter budowy. Naród radziecki, nie skłócony antagonizmami klasowymi, całą swą energię w zgodnym współdziałaniu wyładowuje w generalnej ofensywie na bogactwa natury. Jest to gwarancją gigantycznego rozmachu stalinowskich planów jej przeobrażenia. Człowiek radziecki pod mądrym przewodnictwem Partii zmienia biegi rzek, każąc im nawadniać martwe pustynie i poruszać wały turbin elektrycznych; wgryza się w skorupę ziemi, wydzierając jej węgiel i ropę naftową; przez dzikie tajgi syberyjskie i nieprzebyte wąwozy gór kirgizkich toruje nowoczesne linie komunikacyjne, które martwe, nietknięte stopą ludzką tereny włącza w system krwionośny życia gospodarczego i zdobywa dla cywilizacji i kultury; dzięki miczurinowskim metodom przestrzeń pól uprawnych rozszerza aż po koło polarne, jabłonie sadzi w ostrym klimacie surowej ziemi ałtajskiej; wznosi wspaniałe, tonące w zieleni miasta, bez wilgotnych suteren i brudnych przedmieść, tych nieodłącznych atrybutów miasta kapitalistycznego.

W tym wysiłku i pracy radzieckiego człowieka jest jakiś wielki, prometejski patos człowieczeństwa. Ale Prometeusz nie jest już dzisiaj dumnym samotnikiem, walczącym o szczęście ludzkości sam na sam z naturą i bogiem. Prometeusz ma dzisiej milionowe wcielenia. Chodzi w bluzie donieckiego górnika, w kombinezonie magnitogorskiego metalowca, w kitlu chemika z Leningradu i watówce kołchoźnika z czelabińskiego obwodu. I nie jest więcej męczennikiem sprawy ludzkiej, przykutym przez boga do skały Kaukazu. Jest przodownikiem pracy, otoczonym powszechną czcią i szacunkiem. Miarą jego bohaterstwa są procenty przekroczonych norm. Ma na piersi order Lenina.

I tutaj dochodzimy do bardzo istotnej cechy stalinowskich pięciolatek, ze szczególnym naciskiem potraktowanej przez autorkę książki. Pięciolatka — to nie tylko plan rozbudowy gospodarczej. Nie tylko nowe domy, koleje, fabryki, zakłady przemysłowe. To także nowy człowiek, dorastający w pocie czoła do zrozumienia wielkich zadań swojej epoki. Nowe stosunki międzyludzkie, nowa moralność.

W ustroju socjalistycznym, gdzie dzięki społecznemu charakterowi własności robotnik w pełni jest zainteresowany w rezultatach swojej pracy, funkcja jego nie polega jedynie na biernym obsługiwaniu potrzeb mechanizmu. Walka o lepszą wydajność i zracjonalizowanie procesu produkcji wymaga od robotnika wytężenia wszystkich sił intelektualnych, wynalazczości, sprytu, twórczych, samodzielnych przemyśleń. A nade wszystko — koordynacji własnego wysiłku z wysiłkami najbliższych towarzyszy z sąsiednich warsztatów, z wysiłkami całego zakładu, pokrewnych gałęzi kombinatu, narodu; tej świadomości, o której z taką dumą pisał Majakowski: „Eto moj trud wliwajetsja w trud mojej respubliki". W sposób przekonywający ukazuje autorka tę konieczną aktywizację władz umysłowych człowieka na przykładzie kolejarzy bakińskich, walczących o jak najsprawniejszą koordynację ruchu towarowego, tkaczki Wołkowej, zmagającej się z czasem i przestrzenią o maksymalne usprawnienie obsługi wielu warsztatów jednocześnie, na przykładzie wielu, wielu innych, w których potrzeby pracy obudziły twórczą inicjatywę i energię, prowadzącą do poszerzenia, a nie zwężenia ich horyzontu intelektualnego. Praca połączona z pasją racjonalizatorską jest czymś więcej niż zwykłym zabiegiem nad uzyskaniem lepszych rezultatów w produkcji: to środek wyzwolenia twórczych sił mas ludowych, to wielka szkoła myśli, w której kształtuje się człowiek przyszłości — człowiek epoki komunizmu.

Podobnie, jak racjonalizacja jest szkołą myśli, tak współzawodnictwo pracy jest szkołą charakteru i ludzkiego współżycia. Współzawodnictwo pracy — to forma szlachetnej rywalizacji, powstała na podłożu socjalistycznych stosunków produkcji. Posiada ono nie tylko swój aspekt gospodarczy. Wymaga bowiem nowego stosunku do warsztatu pracy, a przede wszystkim — nowego stosunku do towarzysza pracy. Moralność komunistyczna rodziła się w akcjach strajkowych, w zmaganiach ze starym porządkiem, na barykadach rewolucji. Moralność komunistyczna rodzi się dzisiaj przy warsztacie fabrycznym. I także na tym polega znaczenie „idei Matrosowa", koncepcji

(Dokończenie na str. 10)

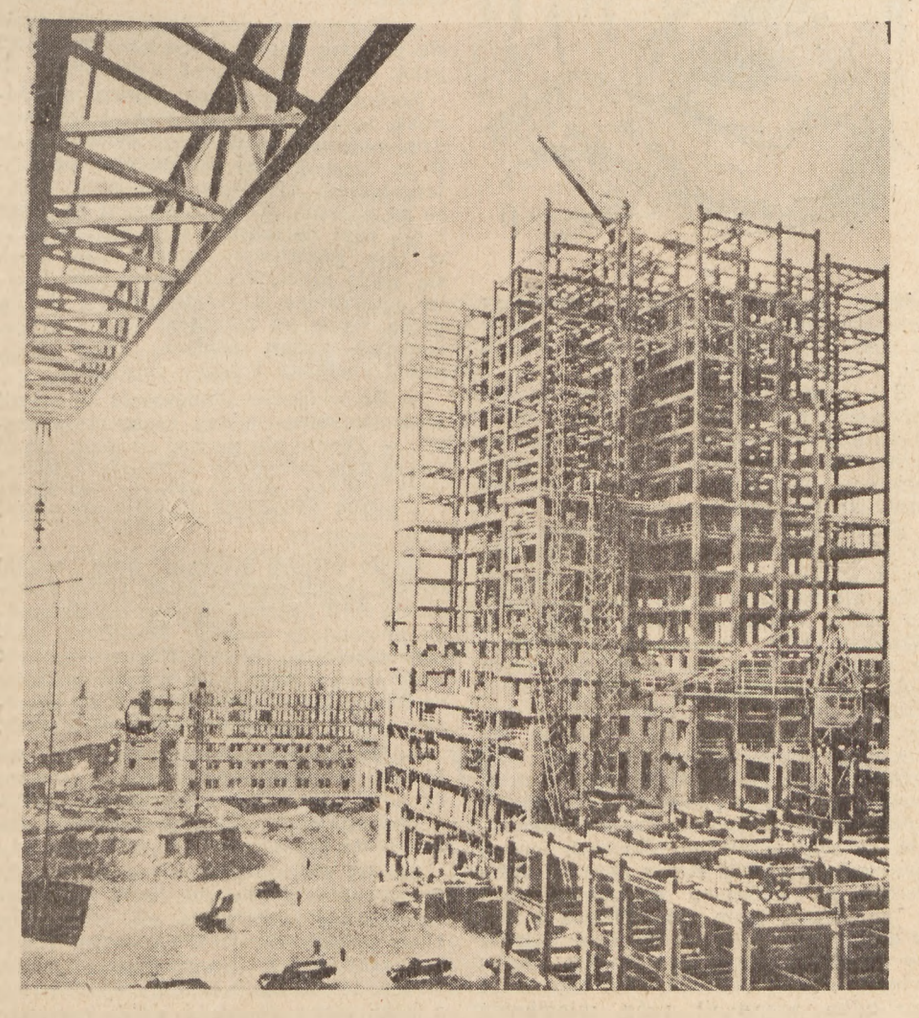

Budowa największego ośrodka naukowego na świecie, uniwersytetu moskiewskiego

TADEUSZ KUBIAK

MÓWIĘ DO NIEJ

A gdybyś wysłuchała
od początku do końca,
opowiedziałbym ci wiele
pięknych rzeczy o świecie.

O starych wieżach i dzwonach,
o górniku siwym jak mech,
o młodych drzewach i skałach
wydanych na pastwę morzu.

O kraju lotnych piasków
zmienionych w krainę winnic.
I o winnicach zmienionych
na miejsce ludzkiej kaźni.

Ach, miałem mówić o pięknie
świata, ale opowieść
moja byłaby nie szczera,
gdybym nie dopowiedział.

Oto są dni zawieszone
u chmur, gdy skały półwyspów
bronią miast kontynentu.
Jest śmierć, która jest przykładem.

Ale jest i kraj nadziei,
gdzie koła stalowe w rzece
zapalają gwiazdę światła
wśród słoneczników kołchozu.

KAZIMIERZ BRANDYS

W STRONĘ

Działo się to w mroźnych i białych dniach stycznia 1945. Armia Czerwona rozpoczęła ofensywę na szerokim froncie, wyzwalając Warszawę i ziemie na zachód od Wisły. Ludność byłego GG znajdowała się wówczas u kresu sił. Sto ostatnich dni upłynęło w głuchym oczekiwaniu; milion chorych i obdartych ludzi co noc nasłuchiwało odgłosów od strony palonego miasta. Warszawa leżała w tych dniach na linii frontu. Z dachów Powiśla można było zobaczyć błyszczące hełmy i bure płaszcze Kościuszkowców okopanych na Pradze. Ale nieliczni mieszkańcy, których Niemcy wpuścili do miasta, opowiadali po powrocie, że to co niegdyś było Warszawą, teraz jest obrazem rozpaczy. Podobno stada wron krążyły nad zburzonym Placem Saskim, a w ruinach Marszałkowskiej i Nowego Światu harcowały zdziczałe koty.

Jesień była tego roku pogodna, jeszcze w październiku świeciło ciepłe słońce, wzmagając duszny zapach gnijących na ziemi liści; potem przyszły chłody i deszcze, drogi rozmokły; żółte, gliniaste błoto wydychało niezdrowe opary. Aż wreszcie wszystko zamarło w cichym mrozie, w którym od czasu do czasu zrywał się wiatr, wstrząsając gałęziami drzew. Dopiero później spadł śnieg. Wtedy milczenie i przestrzeń stały się tak ogromne, że ludzie z Warszawy stracili nadzieję, aby w tej nieskończonej pustce mogło się w ogóle coś zdarzyć.

Lecz gdy w połowie stycznia ziemia i powietrze zadrżały od huku, kiedy przez wsie i miasteczka przeciągnął łoskot żelaznych gąsienic, a szosy i trakty leśne zapełniły się gwarem żołnierskich gromad wędrujących na zachód — długie korowody wysiedleńców zaczęły nadciągać z całego kraju do Warszawy, która była już wolna... Ludzie szli pieszo lub wlekli się na wynajętych furmankach; wielu z nich brali na samochody radzieccy bajcy wracający do baz zaopatrzenia po amunicję i materiały pędne. Był to widok w owym okresie swyczajny: codziennie, drogami od Kielc, od Częstochowy, Radomia i Skarżyska ciągnęli ludzie warszawscy.

Dziwacznie ubrani, owinięci w chłopskie szmaty i dawne łachy miejskie, szli skrajami szos, spychani przez sznury ciężarówek; utykając w śniegu i grzebiąc się przez wyrwy od pocisków, sunęli uparcie pod falę wielkiej ofensywy od Wisły na Berlin. Radzieckie regulowszczyny — rumiane żołnierki w barankowych nauszkach, stojące na skrzyżowaniach dróg — rozpoznawały ich z daleka i wskazując kierunek czerwoną chorągiewką, wołały: — Warszawa!

Wysiedleńców po miasteczkach i wsiach zostało jeszcze sporo. Nie wszyscy mieli do czego wracać: niektóre dzielnice warszawskie zaprosiły niebo na swe dawne miejsce; wiele domów Niemcy zamienili w płaskowyże gruzu, inne wyglądały jak zbocza przysypane piargami cegieł. Ponadto, mimo iż lud warszawski odznaczał się odpornością na trudy, mnóstwo było chorych i osłabłych; a również takich co nie zdążyli się wyleczyć z ran odniesionych w Powstaniu. Ci zapełniali szpitale. I właśnie w szpitalu dla wysiedleńców, w miejscowości Kowalsk, położonej niedaleko Sochaczewa, zastały te dni Tola Szarleja, który przez trzy miesiące leżał z przestrzelonym płucem i ramieniem, walcząc kilkakrotnie ze śmiercią w sali II na łóżku 115.

Dopiero kiedy odzyskał przytomność, dowiedział się, że w październiku przywieźli go tutaj chłopi. Znaleźli człowieka zasypanego liśćmi, w rowie na skraju lasu; zeschłych liści, czerwonych i żółtych, było tej jesieni wiele. Przywieźli go o zmierzchu, słoma na wozie całkowicie przesiąkła krwią. — Wyglądaliście jak Bóg wie co, stopiętnasty — opowiadał mu później jeden z pacjentów, który widział, gdy go zdejmowano z wozu — takich to tylko ze wspólnego dołu wygrzebują. — Podobno w kierownictwie szpitala powstał spór, czy o rannym znalezionym w rowie zameldować Niemcom. Ale chłopi zeznali, że nie zatrzymał ich żaden patrol i ludzi po drodze było niedużo, szpital znajdował się na szczęście poza miastem, przy szerokim gościńcu między stacją kolejową a cegielnią, biegnącym pośród pustych łąk. Postanowiono więc rannego zatrzymać na własną odpowiedzialność — i operować. Stan uznano na oko za niemal beznadziejny, trudno konającego wydawać w ręce żandarmów.

O tym wszystkim Szarlej usłyszał w wiele tygodni później. Im szybciej wracał do sił, tym jaśniej odtwarzał sobie przebieg swojej ucieczki z transportu. Wieźli ich nocą: w wagonach zabitych deskami było ciasno i duszno, jakiś ksiądz wzywał szeptem, żeby się modlić, i kilku mężczyzn usłuchało. Pociąg wlókł się powoli, często przystawał, wtenczas mamrotanie pacierzy brzmiało wyraźniej, a z zewnątrz dobiegał wrzask żandarmów i stukot kolb.

Szarlej siedział w kącie wagonu, oparty o plecy śpiącego mężczyzny. Nie chciało mu się modlić ani myśleć. Od chwili utraty Teresy znajdował się w stanie półsnu: kiedy przymykał oczy, natychmiast widział jej twarz, zdawało mu się, że śpią razem na betonie i że czuje jej oddech. Otrząsał się wówczas i próbował odgadnąć, dokąd go wiozą. Ale zamiast tego wyrastał przed nim widok pustej hali obozowej ze strzępem pomiętej gazety na miejscu ich nocy miłosnej. I byłby tak pozwolił się dowieźć do punktu przeznaczenia, gdyby nie czterech mężczyzn, którzy zaczęli majstrować przy zagwożdżonych drzwiach wagonu. Poprzez pomruk modlitwy słychać było ich spieszne oddechy, zdławione wysiłkiem. Szarlej przypatrywał się temu: wiedział z własnego doświadczenia, że deska nie da się łatwo podważyć. Ale w pewnej chwili jeden z mężczyzn wydał stłumiony okrzyk: coś się im widać powiodło. — Gdyby jeszcze kawałek żelaza... — mruknął inny i zwrócił się do współwięźniów urywanym głosem: — Panowie, kto ma jakie żelastwo... Pomóżcie... — Modlitwa nagle ucichła. — Nie uciekać — powiedział ksiądz w ciemności — wszystko w ręku Boga. — Szarlej wymacał bagnet przywiązany na szyi pod wiatrówką. Przesunął się ku tamtym i wcisnął go w rękę człowiekowi mocującemu się z deską. — Zabiją się — warknął ktoś w głębi wagonu. — Nie uciekać — powtarzał ksiądz cienkim głosem — ucieczka tylko w Panu...

Z tego, co nastąpiło później Szarlej nie wiele mógł sobie przypomnieć. Pamiętał zimny prąd powietrza i zapach lasu, który wdarł się przez wywalony otwór; potem — ciemne, skulone ciała skaczących ludzi. Było ich pięciu. Sam skoczył ostatni. Kiedy się podniósł i zaczął biec w stronę czerniejącej przed nim ściany lasu, poczuł, że nie ma wiele tchu. Z tyłu rozległy się krzyki, tupot nóg po nasypie i kilka strzałów. Żandarmi zatrzymali pociąg. W chwili, gdy poczuł na plecach smugę reflektora i zobaczył przed sobą kawałek jasno oświetlonego rżyska z grudkami zeschłej ziemi — zrozumiał że nie ucieknie. Przeszył go krótki ból — zapewne na tę myśl; nie słyszał bowiem gwizdu kuli, która go dosięgła. W ostatniej sekundzie zdołał się wyrwać ze światła, upadł i zaczął się czołgać w stronę drzew, których szum był spokojny i bezpieczny. Lecz nagle stoczył się w głęboki rów, pełen suchych liści. Nie miał już sił, aby się z niego wygrzebać. I mimo że słyszał kroki nadbiegających żandarmów, zdobył się tylko na to, ażeby zgarnąć na siebie jak najwięcej tych liści, miękkich i szeleszczących. „Jeżeli mają psy — pomyślał resztką przytomności — to mnie tutaj znajdą..." Ale widocznie żandarmi nie mieli ze sobą psów, gdyż przebiegli obok. Prawie godzinę przeszukiwali las, poczem wrócili, nikogo nie znalazłszy.

Z serii, którą do niego wystrzelono Szarlej zatrzymał dla siebie dwie kule: jedna, przebiwszy płuco, utkwiła między żebrami; druga uszkodziła jabłko stawowe w ramieniu. W rowie pod lasem, okryty kobiercem z liści, przeleżał pół doby. Powinien był umrzeć z upływu krwi, ale zapewne posiadał jej wiele. Kiedy chłopi taszczyli go na wóz, ból na chwilę przywrócił mu przytomność. Powiedział że jest Polakiem, i spytał czy nie ma w pobliżu Niemców. Lecz wokół było pusto, wiatr tylko szemrał w przerzedzonych koronach buków, a od rżyska dolatywał krzyk wron. Chłopi ułożyli go na słomie, wóz ruszył. Wtedy Szarlej znów stracił przytomność i nie usłyszał, jak jeden z nich mruknął, że z tego Polaka dusza już pewnie ulatuje, bo źrenice ma szkliste.

Operował go warszawski chirurg, wysiedleniec, zatrudniony w szpitalu w Kowalsku. Był to przysadzisty mężczyzna o zwinnych włochatych rękach. — Kiedy zobaczyłem go na stole — opowiadał później kolegom — powiedziałem sobie: ten pacjent będzie żył. — I tłumaczył, że pewien typ klatki piersiowej gwarantuje niezwykłą odporność organizmu. Lecz Szarlej o tym nie wiedział. Nie miał również pojęcia, że jego tajemnicza osoba stanowi sensację w szpitalu. W krótkich momentach przebudzeń widział tylko okno z kawałkiem szarego nieba, przekreślonym gałęzią ogrodowej akacji. Wpatrywał się w nią, śledził spod powiek jej poruszenia, a gdyby go wówczas zapytano, kim jest, nie mógłby o sobie powiedzieć wiele więcej, niż o tej gałęzi, którą kołysał wiatr. Czas upływał poza jego czasem: krwotoki, gorączka, półsenne zmory i widziadła spychały dni i tygodnie niby w mroczny wąwóz; ciało i myśli Szarleja stawiały tam rozpaczliwy opór. Z daleka dochodziły głosy ludzkie, szelesty, skrzypienie łóżek; czasem jakaś twarz pochylona nad nim zdawała mu się znajoma i słyszał słowa: — Numer stopiętnasty, wysoka gorączka. — Chciał wtedy się odezwać, lecz w tej samej chwili znowu go ogarniała ciemna fala bólu i spadał gdzieś bardzo głęboko. Pewnego dnia przebudził się na dłużej: wtedy spostrzegł ze zdumieniem, że gałąź za oknem pokryta jest śniegiem, a jego lewe ramię w białym bandażu, wyciągnięte i sterczące, wydało mu się podobne do owej gałęzi. Była już zima, niebo miało barwę wodnistego mleka, a w sali II pacjenci rozmawiali o tym, że numer 115 przeszedł kryzys i wraca do życia

Szarlej jednak nadal leżał nieruchomy, wychudły, nie odpowiadał na pytania i nie słuchał rozmów. Kości w twarzy zarysowały mu się tak ostro, że kiedy znów przymknął oczy, jeden z sąsiadów, który przykusztykał o kulach do jego łóżka, zwątpił naraz czy 115 zamiast wyzdrowieć, po prostu nie umarł. Nie miał jednak racji. Szarlej po raz pierwszy od chwili utraty świadomości odzyskał ją teraz w pełni: po raz pierwszy od długiego czasu zrozumiał, że jego rozpacz powróciła nietknięta z przepaści, w której się znajdował przez ostatnie dni. „Nie umarłem" szepnął do siebie. Poczem natychmiast spostrzegł, że nie ma przy nim Teresy. Pomyślał więc, czy nie lepiej było umrzeć, spojrzał na gałąź, drżącą od chłodu za oknem — i zapadł w pierwszy zdrowy sen.

2

Dni, które zaczęły płynąć, były bardzo do siebie podobne. Szarlej uczył się rozpoznawać twarze swoich sąsiadów i słuchać ich rozmów. W przeładowanym do ostatka szpitalu panował zaduch przesiąknięty słodkawym odorem ropy i nieustanny gwar. Niektórzy chorzy leżeli na ziemi, na materacach lub barłogach ze słomy, a przejścia między łóżkami były nadzwyczaj wąskie. Łóżko 115 stało nieco na uboczu, w kącie naprzeciw okna. Szarlej spędzał długie godziny w bezruchu, przypatrując się zdrowszym pacjentom, grającym w karty albo w szachy ulepione z chleba. Czasem spotykali jego oczy, jeszcze rozszerzone od bólu. Z początku usiłowali go rozerwać, opowiadając na głos ciekawsze historie z życia, lub pokazując karciane sztuczki. Po każdej z nich wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę Szarleja. Zdawało się jednak, że 115 niczego nie słyszy. Nie wiedział, że sala wiąże z jego wyzdrowieniem nieokreślone nadzieje. W najcięższych dniach choroby nawet najbardziej niesforni przerywali kłótnie, ilekroć z łóżka nr 115 rozlegał się jęk. Śmiertelnie ranny człowiek znaleziony w rowie nie powinien był umrzeć zabierając ze sobą swoją nieznaną przeszłość. Ludzie snuli na jej temat przeróżne domysły. Zwłaszcza rano, po przebudzeniu, gdy noc odchodząc pozostawiała na poduszce głowę Szarleja, umęczoną gorączką — lubili głośno rozmawiać o tym, kim był w życiu stopiętnasty i kto go tak pokrzywdził. Czekali cierpliwie, aż wyzdrowieje i sam o tym opowie. Wydawało im się to należne: każdy z nich zdążył tu wszystko o sobie powiedzieć i żądał tego od innych.

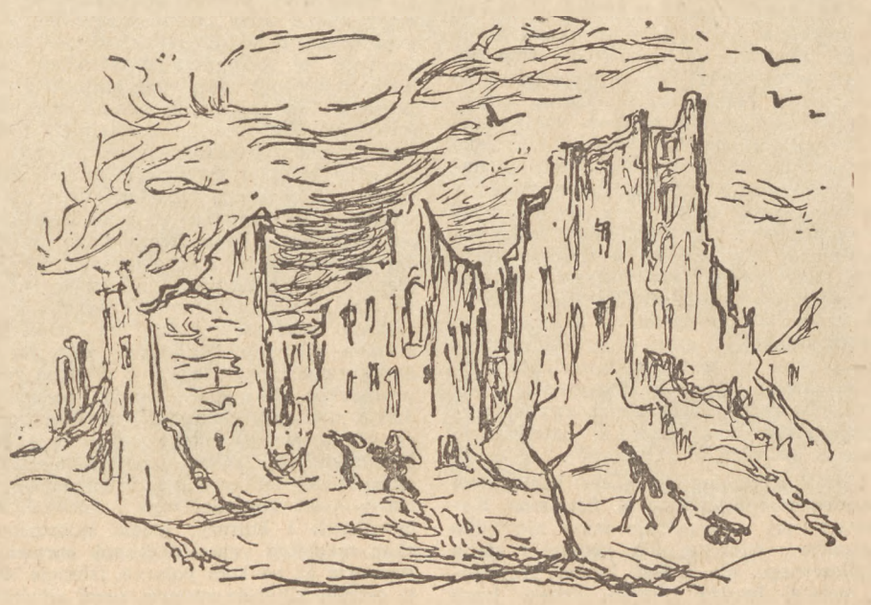

Szarlej był wtedy nieprzytomny, nie wiedział o niczym i tylko maligna wyrywała mu czasem z ust jakieś westchnienie. Teraz zaś czuł się tak słaby, że nie próbował nawet unieść zdrowej ręki. Często przyglądał jej się, gdy leżała na kołdrze i ogarniał go podziw, że jest to jego dłoń: chuda i blada, jakby wyciekła z niej wszystka krew.

Często również przypatrywał się pacjentom. Trafiały się między nimi przezroczyste figury koloru wosku, lub wielkogłowe stwory w bandażach, niekształtne jak bałwany śnieżne; inni, z ramionami w gipsie, niby grające anioły ze starych malowideł, nosili przed sobą swe białe instrumenty. Szarlej patrząc na nich z trudem zbierał myśli: cóż mogło go łączyć z tym fantastycznym światem? Szukał w pamięci prawdziwych zdarzeń, jakie go tutaj przywiodły; i wtenczas wracały do niego spieszne oddechy mężczyzn wiezionych transportem z Pruszkowa, głos księdza o twarzy ukrytej w ciemności wagonu, a potem — pęd zimnego powietrza i spokojny szum drzew. Budził go cichy odgłos podobny do szmeru zeschłych liści; więc usiłował zgarnąć je ręką na siebie. Lecz był to tylko szelest białego czepca zakonnicy, która pochylała się nad jego łóżkiem.

Nieraz z rana otwierał oczy wcześniej od innych. Gałąź za oknem czerniała niewyraźnie na tle nieba, które niedawno pogasiło gwiazdy. Wtedy Szarlej wyobrażał sobie, że wszystko, co przeżył przez ostatnie lata, było snem i właśnie się z niego przebudził: znowu jest uczniem szkoły realnej im. Kościuszki, której wysoki gmach wznosił się przy końcu ulicy wysadzonej lipami. Słyszał gwar na korytarzu i tupot niezliczonych nóg po schodach wiodących do klas. Nad zgiełkiem panował potężny głos Bałturyna: „Mamy do siebie zaufanie, Szarlej, mówmy jak dwaj uczciwi ludzie: czyś to ty wysmarował szuwaksem katedrę przed lekcją fizyki?"

„Cóż to znaczy być uczciwym człowiekiem, panie profesorze — pomyślał nagle Szarlej, patrząc na gałąź, z której wiatr strząsnął garść śniegu na okap — czy liczy się sumienie, skoro człowieka zawsze osądzają inni?"

Oczywiście, wtedy nie przyszłaby mu na myśl podobna odpowiedź. Stał przed tablicą i czuł na sobie roześmiane spojrzenia całej klasy. Twarze szkolnych kolegów dobrze się pamięta, więc Szarlej leżąc z przymkniętymi oczami usiłował przywołać je do siebie, wszystkie po kolei... Chłopiec z trzeciej ławki w środkowym rzędzie, w siedem lat później, niemal zamęczony żywcem, wyda na śledztwo własnego brata. Tamten, o czarnych kręconych włosach i łagodnej twarzy, to Jakub Gold: w dwa lata po maturze zabije człowieka; nie wiadomo co się z nim stało podczas wojny... Inny, blondynek o błękitnych oczach, dobry uczeń i kolega, w 1940 okaże się Niemcem; to on w 43 kierował rewizją w mieszkaniu dyrektora gimnazjum i aresztując go rzekł po niemiecku: — Krieg ist Krieg, Herr Direktor... W dniu rozdania świadectw dojrzałości stali rzędem na estradzie w sali gimnastycznej przybranej zielenią. Z krzeseł patrzyli na nich rodzice, matki płakały ze wzruszenia, z estrady bił zapach jedliny, dyrektor wręczając świadectwo zwinięte w rulon, ściskał każdemu dłoń. Potem, objąwszy się ramionami, wszyscy — a było ich dwudziestudwóch — odśpiewali chórem „Gaudeamus igitur..."

Tych dni Szarlej nie potrafił teraz połączyć ze sobą wyciągniętym na szpitalnym łóżku, ani z salą, do której się wsączał mdły świt, kładąc na twarzach chorych żółty, kościelny odcień. Z posadzki zasłanej słomą dochodziły stękania, pacjenci budzili się klnąc na swój los, zaduch wydzielin przesycał powietrze. Wścibski wysiedleniec o kulach, Maciejewski, który skakał po całej sali jak wróbel, przysiadał na brzegu łóżka nr 115 i odzywał się zachęcająco: — No cóż? Wykaraskaliście się, człowieku! — Jego głos przywracał Szarlejowi czujność, był to głos teraźniejszości. Szarlej starał się uśmiechnąć i potakująco kiwał głową, patrząc spod rzęs na człowieka, któremu ucięto nogę i który był jego towarzyszem. Maciejewski przyglądał mu się uważnie długą chwilę, a potem mówił jakby z wyrzutem: — Ech, stopiętnasty, boicie się mnie, czy co? Ja niezły człowiek i do serca nie będę wam zaglądał... — Poczem machał ręką i odchodził podskakując na swoich kijach do innego łóżka.

Wtedy, gdy w sali zaczynał rozbrzmiewać zwykły gwar i pacjenci wracali do poprzednich zajęć przerwanych przez noc, Szarleja ogarniała litość nad samym sobą. Odwracał się do ściany, chcąc przetrawić w ukryciu myśl, że gdyby któremu z pacjentów wpadło do głowy zapytać go, gdzie podział swoich bliskich — nie umiałby odpowiedzieć. I nie potrafiłby wyjaśnić również samemu sobie, czemu tak się stało, że został odarty z wszystkiego, co człowiekowi jest należne od Boga czy natury — z ojca i brata, matki i kobiety. Nie miał śladu dokumentu, świstka stwierdzającego kim był i kiedy się urodził. Gdyby tu przyszło mu umrzeć, musieliby go pochować jak włóczęgę i nawet ziemia nie dowiedziałaby się czyje ciało ma schronić. On, Tolo Szarlej, syn swego ojca i brat swego brata, wychowanek gimnazjum Kościuszki i warszawskiego uniwersytetu,

później porucznik Anto, odznaczony krzyżem za waleczność — spocząłby w ziemi jak nieznany człowiek tej wojny, o którym zapomniał świat.

Był jeszcze wycieńczony gorączką, toteż nieraz zdarzało się, że wśród takich myśli powoli zasypiał; choroba umie niepostrzeżenie rozpacz zamienić w sen. Wówczas pogwarki pacjentów, szelest kart, kroki zakonnic mieszały mu się z głosem jego ojca, który dochodził jakby zza drzew czy mgły. Szarlej nie potrafił w nim rozróżnić poszczególnych słów, ale rozumiał że zwrócone są tylko do niego. Wyobrażał sobie we śnie, że Ksawery widzi jego ramię sterczące w wyciągu, bliznę na piucu przebitym kulą, i pociesza go tłumacząc na swój dziarski sposób, jak szybko czas goi rany. Szarlej uśmiechał się przez sen, ale nie mógł odpowiedzieć: usta miał bezwładne i gdy próbował wyciągnąć rękę, budził go ostry, rwący ból. Po chwili uprzytamniał sobie, że tylko we śnie mogło się znaleźć miejsce dla tych dawno przepadłych spraw. Kiedy parę lat temu doszły go wieści o stosunkach ojca z Niemcami, sam zameldował o tym w dowództwie oddziału Merecza; zażądał by odtąd nie łączyć jego imienia z człowiekiem, który zdradził. I od tego czasu raz tylko przestąpił próg mieszkania Ksawerego: w dniu kiedy miał strzelać do Pankrata, ranny i ścigany, wpadł do bramy na Krakowskim i kulejąc dowlókł się do drzwi z napisem „Ksawery Szarlej". Ojca wtedy nie zastał i Kwiecień opatrzył mu nogę. Uciekł zresztą stamtąd i więcej nie wrócił.

Podobne rozmyślania musiały mu raz wydrzeć z piersi jakiś jęk, bo pacjent leżący obok powiedział do kolegi: — Stopiętnasty znów gada do siebie. Widać z powrotem gorączka go rozbiera. — Był to wysiedlony, któremu Ukrainiec z SS zmiażdżył kolbą połowę twarzy. Pacjent ten, naszpikowany drenami, patrzył na świat przez wąską szparę w opatrunku i umiał wydawać cichy gwizd z gumowej rurki w ustach; ściekała przez nią ropa z jego gnijących kości. Ale chory leżący na słomie koło jego łóżka, niemłody i zielonożółty, o cienkich kończynach wyrostka, był innego zdania: stopiętnasty nie jęczał z gorączki, lecz z siebie samego. — Dusza go boli — twierdził. I dodał, że on ten ból zna: dusza boli człowieka, kiedy przestaje wierzyć w Boga. Przydarzyło mu się to we wrześniu, na Zieleńcu, gdy esmani rozłączyli go z synem. „Do widzenia tato" — powiedział syn. A on stał i nie mógł z siebie głosu wydać. Syn krzyczał jeszcze z daleka: „Nie martw się, tato, naród polski się o mnie postara!" A on dalej nic.

— I co? — mruknął wysiedleniec ze zmiażdżoną twarzą, patrząc nań przez swoją szparkę.

— A nic — odparł spokojnie człowiek chory na żółtaczkę — dusza mnie wtedy zabolała i przestałem wierzyć w Pana Boga. — Jego sąsiad gwizdnął przez gumowy dren i pokręcił głową ze zdumieniem.

Chorzy zaczęli rozmawiać o duszy, zastanawiając się nad dziwnym przypadkiem pacjenta leżącego na słomie. Niektórzy nawet przerwali grę w karty, a Maciejewski wołał stukając swym kijem, że duszy w ogóle nie ma. Powstało zamieszanie i wzmożony gwar. Szarlej usłyszał czyjś głos z głębi sali, pytający Maciejewskiego: — A nie żałujesz, człowieku, swojej nogi? Żałujesz, myślisz o niej, żal cię bierze, że już tańczyć na niej nie będziesz, i innym zazdrościsz, że im jej nie ucięli... I to jest właśnie twoja dusza, człowieku. — W sali zapadło milczenie, a Maciejewski zwykle nie tracący języka w gębie, tym razem zerknął tylko na swój kikut i zwiesił głowę. Szarlej wołał w jego stronę nie patrzeć: czuł, że wiążą ich ze sobą jakieś wspólne sprawy.

Chciał potem zabrać głos, żeby powiedzieć szpitalnym ludziom kilka słów o sobie. Spojrzał na wysiedlońca o kulach i miał chęć krzyknąć mu swoje imię i nazwisko. Ale Maciejewski znowu grał w karty, a pozostali pacjenci rozmawiali teraz o swych dzieciach, rodzicach i żonach, które na każdego z nich gdzieś tam czekały — każdy lubił o nich pogawędzić. Wtedy Szarlej osunął się na posłanie; pomyślał, że wśród tych nieszczęśliwych i okaleczonych najbardziej nieszczęsny i kaleki jest on — on sam i jego zgruchotany los.

Mimo to dzień za dniem wracały mu siły. Nie uszło to uwagi pacjentów: zaczęli zwracać się do niego i zagadywać; zrazu niby przypadkiem, a potem coraz śmielej, częściej, zapraszając go w ten sposób do swoich sporów i wspomnień. Czuli w stopiętnastym wrażliwą, inteligencką duszę, każdy więc dokładał starań, aby nie pozostała tu ona zamknięta dla innych, oderwana od wspólnego życia. Nie byli to głupi ludzie: wiedzieli, że ten tajemniczy pacjent nie ma prawa nimi gardzić i sprawiedliwość wymaga, by stał się tutaj jednym z nich.

W styczniu Szarlej chodził na opatrunki już o własnych siłach, podpierając się pożyczoną laską. W ambulatorium chirurg, doktór Krauz, częstował go papierosem i odprawiał czujną zakonnicę. Lubił pozostawać z Szarlejem sam na sam. Klepał go swą obrośniętą ręką po zdrowym ramieniu i śmiał się z satysfakcją:

— Patrząc na was, stopiętnasty, czuję się jak Bóg Ojciec! Przecież stworzyłem pana, można powiedzieć, z niczego!

Zerkał nań bystrymi oczkami zza binokli ze złotym łańcuszkiem i był bardziej podobny do wesołego mopsa niż do Boga Ojca. Szarlej uśmiechał się z roztargnieniem ,oglądając białe butle stojące na półkach. Krauz nie pytał go o nic i nie znał dotychczas jego personaliów; w tym gadatliwym potoku słów kryło się wiele milczenia. Czasami, gdy Szarlej opuszczając ambulatorium, na chwilę przed wyjściem odwracał się od progu, spotykał wzrok doktora, nagle inny, mniej ruchliwy i jakby zmęczony.

— Do widzenia, stopiętnasty — mówił wtenczas nieco ciszej, z akcentem ironii. — Proszę nie myśleć za dużo. Myśli nie są nam potrzebne. — Szarlej zastanawiał się co miały znaczyć te słowa i w końcu je osądzał jako nawyk lekarskiej praktyki.

Około połowy stycznia nocą szpital odczuł głuchy wstrząs ziemi. Ciche dzwonienie szyb i szmer osypującego się śniegu przebudziły chorych. Nazajutrz, podczas opatrunku, doktór Krauz, odprawiwszy siostrę, zdjął szkła, poczem podniósł na Szarleja oczy, które okazały się smutne i głęboko zapadłe w sieci zmarszczek.

— Niemcy przygotowują się do ucieczki — powiedział — wysadzili w nocy tory i jakieś składy w Sochaczewie. Podobno szpital ma być ewakuowany. Jutro, może pojutrze — przyjdą t a m c i...

Szarlej patrzył nań w oszołomieniu. Czekał na tę chwilę pięć lat, a teraz wydała mu się nagle pusta, nie wiedział co z nią począć. Spojrzał na swoje ramię wyciągnięte jak drogowskaz i poczuł strach, że nie zdąży na czas wyzdrowieć: z kości stawowej wciąż ciekła cuchnąca ropa.

*) Fragment powieści pt. „Człowiek nie umiera".

Ilustrowała HELENA CYGAŃSKA-WALICKA

WARSZAWY*)

— Więc wszystko niedługo się skończy... — szepnął. — I co teraz?

Krauz nie zdejmował z niego wzroku.

— Od dwustu lat — powiedział — z chwilą gdy w tym kraju nadchodzi kres nieszczęścia, ludzie zadają sobie pytanie: i co teraz? Wolność, którą zdobywamy, zawsze jest trochę podobna do śmierci...

— Nie znam pańskich poglądów — odezwał się Szarlej.

— Byłem kiedyś zwolennikiem nowoczesnego państwa — ciągnął doktór — i uważałem, że trzeźwa myśl polityczna może stworzyć nową epokę w naszej historii. Wierzyłem w możliwości polskiej inteligencji, w żywotność narodowego kapitału i handlu, w wytrwałość naszego robotnika... i tak dalej. Jeszcze z początku wojny zdawało mi się, że dzielimy wspólny los całej Europy. A teraz? Teraz mogę wierzyć w połamane kości. Polska stała się chaosem, w którym błąkają się tacy jak tam, w pańskiej sali.

Przerwał i spojrzał uważnie na Szarleja. Wahał się przez chwilę, a potem powiedział ciszej:

— Łączność mamy całkowicie rozbitą. Wszystko w rozsypce. Jestem lekarzem wojskowym, czy pan rozumie?

Szarlej skinął głową.

— Starałem się nawiązać kontakty, uzyskać jakieś instrukcje — ale daremnie. Nic nie ma, nic nie istnieje. Człowiek kierujący naszą robotą w tutejszym powiecie zniknął wczoraj z Kowalska. Zostało kilkunastu chłopców, którzy robią bimber. Najstarszy ma osiemnaście lat. Chętnie by zdarli skórę z paru hitlerowców, albo z paru swoich. Zresztą wszystko im jedno. I to jest dzisiaj Polska...

— A inni? — powiedział Szarlej. — Jedni wieją, drudzy robią bimber... Ale czy nie ma innych? Gdzie się podział naród?

— Nic nie ma — powtórzył Krauz jakby nie słysząc jego słów — nic nie istnieje. Narodem byliśmy kiedyś. Teraz pozostał tylko kurz deptany przez obce armie. Inni? Jacy inni? Z bimbru żyje cały kraj. Produkują go eks-bohaterowie, handluje nim inteligencja a chłop się nim zatruwa. Tak, tak, jeden wielki bimber! Żłopie się go z miną Chrystusa Narodów. Jeśli pan chce wiedzieć, stopiętnasty — ja piję go także. Od kilku dni spostrzegam u siebie lekkie drżenie rąk. W moim zawodzie to oznacza... domyśla się pan zresztą.

Uczynił krótki ruch dłonią, w której trzymał binokle. Szkła zamigotały, w ambulatorium było dużo światła; za wysokimi oknami słońce odbijało się na śniegu. Szarlej poczuł zmęczenie i chłód. Swymi słowami i wzrokiem chirurg zdawał się odwijać z bandażów jakąś nową ranę, o której istnieniu żaden z nich dotąd nie wspomniał.

— Czy ma pan kontakty ze swoim oddziałem leśnym? — zapytał nagle Krauz szeptem. —

Szarlej podniósł głowę i spojrzał na niego ze zdziwieniem. W pierwszej chwili nie zrozumiał o co mu szło.

— Z oddziałem leśnym?... — powtórzył. Zmarszczył brwi z namysłem; zaniepokoił się czy gorączka nie zatarła mu w pamięci jakichś ważnych spraw.

— Drogi stopiętnasty — uśmiechnął się Krauz — rozumiem pańską ostrożność. Ale zgaduje pan chyba, że dla byle cywila nie ryzykowałbym życia. Żandarmi mogliby się przecież zainteresować tym skarbem podziurawionym przez ich własne kule. Jesteśmy obydwaj żołnierzami, możemy mówić ze sobą otwarcie. Kiedy pana odgrzebali z tych liści, nie tylko ja ale każde dziecko z okolicy poznałoby w panu „chłopca z lasu"...

— Omylił się pan, doktorze — powiedział Szarlej — nie jestem „chłopcem z lasu", uciekłem z transportu wiezionego z Pruszkowa.

Krauz nałożył binokle. Zza szkieł znów błysnęły jego żwawe psie oczka. Przez długą chwilę świdrował nimi Szarleja, a potem zaczął się śmiać.

— No, no stopiętnasty — machnął w końcu ręką — nie mówmy o tym na razie. Możemy uważać naszą pogawędkę za niebyłą, jeśli panu na tym zależy.

Poklepał go po ramieniu, jakby chcąc tym gestem uspokoić samego siebie, poczem sięgnął po nożyce. W czasie opatrunku nie rozmawiali już z sobą. Dopiero wychodząc z ambulatorium Szarlej spotkał spojrzenie chirurga. Tym razem mimo szkieł miało ono ów połysk znużenia i troski, tak zastanawiający w jego twarzy zazwyczaj wesołej i żywej.

Ale wróciwszy do sali, Szarlej zastał tam radosny, podniecony gwar. Dotarły tutaj nowe wieści, pacjenci przekrzykiwali się, jeden przez drugiego, a zdrowsi tłoczyli się do okien, by sprawdzić, czy nie widać już na świecie jakichś zmian. Nad zgiełkiem, pomieszanym z jękami ciężej chorych, górował piskliwy głos Maciejewskiego, który wołał potrząsając wojowniczo swymi kulami:

— Na jednej nodze za nim! pogonię, ludzie kochani! Na jednej nodze! Czekałem ja na ten dzień! O! czekałem ludzie moi, rodacy!

— No i co? — odezwała się zmiażdżona kolbą twarz, której rysów nikt nie znał — no i co? Nie masz nawet drugiej nogi, kaleko, żeby ich kopnąć.

Pacjenci wybuchnęli śmiechem, a Maciejewski znów trochę posmutniał i odszedł do swego łóżka. Lecz w drugim końcu sali toczył się spór na temat Rosjan. Pacjent z wrzodem dwunastnicy, Lisowicz, buchalter z Kalisza, nieustannie psujący powietrze, twierdził, że po Rosjanach nie można się spodziewać niczego dobrego.

— Znam ich — gulgotał — i nie dam się oszukać. Wilk to wilk, a owca to owca! Miałem kolegę w banku, Moskala, nazywał się Popow. „Wacław Genrychowicz — powiada mi kiedyś Popow — ty się mnie strzeż najmilszy, bo w mojej duszyczce czart mieszka." „Cóż wy takie rzeczy, Konstanty Iljiczu — mówię — jakiż to czart? Wymyślił pan sobie." „Nie — Popow na to — nic nie wymyśliłem, gołąbku, w każdej duszyczce rosyjskiej czart mieszka, Panie Boże odpuść." No i proszę panów w dwa miesiące później tenże sam Popow zabił żonę z myśliwskiej flinty, a potem zwariował.

Lisowicz rozłożył ręce i dodał z triumfem:

— Oto macie swoich Rosjan.

Opowiadanie to nie wywarło na obecnych dużego wrażenia i tylko żółty człowiek leżący na słomie zauważył, że u heretyków, a zwłaszcza prawosławnych, zdarzają sie takie diabelskie sztuczki. Nie wszyscy jednak byli tego zdania, niektórzy nawet zachowali po caracie sentymentalne wspomnienia. Chory na pęcherz Siudek, jąkała wyśmiewany za nocny onanizm, pamiętał z dziecinnych czasów jakiegoś pułkownika z Piotrkowa, który podobno był porządnym człowiekiem.

— Ka...karetą jeździł — opowiadał ślinąc się trochę — w pa... parę siwków, a je... jeger powoził. Chło... chłopaczek byłem mały, a... ale pamię... miętam.

— Głupiś jąkaczu — wtrącił się znowu Maciejewski, który dotychczas milczał po swej ostatniej porażce — teraz już u nich tacy nie rządzą.

— A jacy? — zainteresował się zmiażdżony i zwrócił swoją szparę w stronę wysiedlenca.

— Wła... właśnie, a-ja... acy? — Powtórzył dotknięty Siudek.

— Tacy nie rządzą — upierał się beznogi — inni rządzą, a carskich jenerałów za piec odłożyli.

— Nie rób pan tutaj agitacji — warknął Lisowicz z dwunastnicą — żeby mówić o tych rzeczach, potrzebne jest wykształcenie. Wilk to wilk, a owca to owca.

— Proletariat tam rządzi — odezwał się wtedy głos z lewej strony sali — robociarze i chłopi, tacy sami jak my...

Po tych słowach w sali zapadło niepewne milczenie. Zabrzmiały niespodziewanie. Szarlej spojrzał w tamtym kierunku. Na łóżku pod krucyfiksem leżał robot-

nik z tutejszej cegielni, Turchański, pobity przez granatowych policjantów. Zawzięli się na niego, gdyż groził im ludowym sądem za wysługiwanie się żandarmom przy obławach. Pewnego dnia zaszło ich trzech do cegielni: tłukli Turchańskiego dębowymi polanami chyba z kwadrans, a potem wrzucili do studni; cudem udało się go wyciągnąć. Chorował już trzy tygodnie, pacjenci z sąsiednich łóżek twierdzili że umrze; miał podobno odbite płuca i śledzionę. Był to czterdziestoletni mężczyzna o szarawej twarzy i krótko przystrzyżonych włosach. Niebieskimi oczami patrzył zazwyczaj w sufit i odzywał się rzadko.

3

W nocy z 17 na 18 stycznia Niemcy opuścili Kowalsk. Stało się to po cichu i bez widocznej przyczyny. Poprzedniego dnia radzieckie samoloty zrzuciły parę bomb; jedna spadła na rynek nieopodal studni, u której żołnierz SS poił oficerskiego konia; obydwaj — essman i koń — znikli wraz ze studnią, a do pobliskiej piekarni, w której wybuch wywalił drzwi, wleciała ludzka noga i plasnęła o ladę obryzgując ją krwią.

W szpitalu zapanował straszliwy niepokój. Chorzy krzyczeli z łóżek zasypując gradem pytań zdrowszych, uwieszonych u okien. Samoloty pikowały nad szosą, przy której stał gmach szpitalny; kiedy z wycia silników wyrywał się terkot broni pokładowej, sala milkła i słychać było tylko charczący oddech Lisowicza, któremu właśnie tego dnia zoperowano dwunastnicę. Potem znów podnosił się zgiełk i wrzask ,pacjenci bili się o miejsca przy oknach, jakby miotani furią, a Maciejewski którego odepchnięto, tłukł wściekle o posadzkę swoimi kulami.

Wszystko jednak ucichło przed zapadnięciem zmierzchu: powietrze stało się przez chwilę przejrzyste i głębokie, a potem z daleka od strony cegielni zabrzmiał pojedyńczy wystrzał i szczekanie psów, stłumione nieco przez śnieg, który zaczynał już sinieć w pyle zachodzącego światła, zwolna osypującym się z nieba; i tylko ponad lasem, wzdłuż którego przebiegał tor kolejowy, snuł się tłusty, czarny kłąb mgły, rozwlekany po wierzchołkach drzew przez wiatr. Chorzy powracali do łóżek, gdyż nie było na co patrzeć. Ponieważ w tumulcie zerwali z okien papier służący do zaciemnienia, nie pozwolono zapalać światła i wieczór zastał salę pogrążoną w mroku. Po niepokoju i zamęcie pacjentów ogarnął smutek czy też wstyd; leżeli teraz cicho, nie rozmawiając ze sobą, może wyczerpani podnieceniem; jedynie buchalter rzucał się na łóżku jak ryba na kuchennym stole i bredził po narkozie. W nocy sanitariusze przynieśli dwóch jęczących ludzi i ułożyli ich na noszach pod ścianą. Nikt nie spał; jeden z rannych musiał być młodziutki, bo miał cienki głos, jak dziewczyna. Z łóżka do łóżka szeptem przebiegła wiadomość, że to dwaj mieszkańcy Kowalska, których postrzeliła wacha niemiecka, gdy wracali po ciemku przez rynek. Trzeci podobno już nie żył. Ale nazajutrz rano, ledwie zrobiło się jasno, do sali wpadł zziajany wyrostek w ośnieżonej burcą i poślizgnąwszy się w progu wrzasnął przeraźliwym dyszkantem:

— Po-oszli!

Był czerwony od mrozu, miał wybałuszone oczy i trzymał w ręku stary wysoki karabin, pewnie z tamtej wojny. Chorzy osłupieli. Zanim ktoś zdążył wyjąkać słowo, chłopak zatupał bucicrami i zniknął pozostawiając po sobie dwie brudne kałuże tającego śniegu.

Pierwszy doskoczył do okna beznogi. Wspiął się na kulach i znieruchomiał, a potem zaczął wołać skrzeczącym, zdławionym głosem jakieś słowa, których nikt nie zrozumiał. Gdy rzucili się inni i czyjaś pięść rozwarła okno, oczom ich ukazał się przedziwny widok: od lasu, ponad ziemią płynął błękitny opar, dotykając wiotkimi smugami białej płaszczyzny łąk; rozrzedzał się dopiero przy samym skraju szosy: tam zagradzały mu drogę czarno rozpostarte na skostniałej grudzie dwa trupy niemieckich żołnierzy, z których jeden miał głowę odjętą i ukrytą w rowie a drugi sięgał rękami zamarzłych kolein.

Dzień okazał się słoneczny, w roziskrzonym powietrzu świat wyglądał jak diament. W godzinę później nadeszła wiadomość z miasteczka, że trzecim przechodniem, do którego strzelali żandarmi był warszawski chirurg, doktór Krauz; wracając po ciemku ze szpitala chciał się przemknąć ukradkiem przez rynek, mimo strzelaniny jaką wyrządzili rozwścieczeni Niemcy. O świcie ludzie zobaczyli z okien, że na przeciwległym chodniku, oparty plecami o ścianę starostwa siedzi samotny człowiek ze zwieszoną głową, jakby spał. Rynek wydawał się podejrzanie cichy i nikt nie miał odwagi wyjść za próg: nie było całkiem pewne, czy Niemcy rzeczywiście opuścili Kowalsk. Dopiero jakiś chłop, który nadjechał wozem od łąk spostrzegł śpiącego, podszedł doń ostrożnie i przykucnąwszy zajrzał w jego twarz. Poczem narobił krzyku, albowiem rozpoznał lekarza, który tydzień temu przeciął mu ropień na karku. Doktór był już sztywny, musiał skonać od razu; kula przeszła nad brwią i utkwiła w potylicy. Zaniesiono go na opróżniony posterunek żandarmerii, gdzie wisiał jeszcze portret Hitlera i walały się puszki po konserwach. Tymczasem chłop wyprzęgając konia opwiadał, że jego wieś zajęli w nocy Rosjanie; przyszli jak w goście — pieszo, bez wystrzałów, od strony toru kolejowego. Po tej nowinie na rynku zaroiło się od ludzi. Kowalsk w mgnieniu oka zrozumiał, że jest wolny, i natychmiast zapomniał o śmierci chirurga, którego zostawiono na ławie w opustoszałej wartowni. W sali II wieść o tym wypadku wywarła niewielkie wrażenie, gdyż uwaga pacjentów była skupiona wyłącznie na szosie, którą mieli nadejść Rosjanie; nie interesowano się tu niczym innym. Lecz oddziały radzieckie zajęły Kowalsk dopiero nazajutrz, po stoczeniu bitwy z czołgami niemieckimi o linię kolejową Sochaczew-Łowicz, której broniła zmotoryzowana jednostka SS. Około południa na rynek wpadły rozdygotane od pędu trzy motocykle, zatoczywszy szeroki krąg zahamowały gwałtownie bryzgając płatami śniegu. Mężczyzna w barankowej czapce zaczął wołać z przyczepki do nadbiegających ludzi, usiłując przekrzyczeć huk silników:

— Germancow niet? Zdrastwujcie! Germancow niet?!

Był to patrol gwardyjskiej kolumny pancernej, która wkrótce nadciągnęła od szosy. Mieszkańcy rzucili się tłumem na spotkanie żołnierzy. Słychać było radosny płacz kobiet, zawsząd brzmiał krzyk: „Oswobożdnieno!", padały nazwy wyzwolonych miast, ludzie z Warszawy zmieszali się z ludźmi z Tuły i Charkowa, gwardziści wychyleni z maszyn, szczerząc w uśmiechu geste jak kukurydza zęby, ściskali wyciągnięte dłonie. Nawet tutejszym psom udzieliła się ogólna radość: ujadając piskliwie, biegały wokół rynku, wytarzane w brudnym, rozdeptanym śniegu. Miasteczko napełnił gwar, warkot motorów i wołanie rozkazów. W chwilę później krasnoarmiejcy rozsypali się po rynku a piesze patrole zaczęły przetrząsać przyległe uliczki w poszukiwaniu ukrytych hitlerowców.

Jeden z patrolów dotarł do szpitala. W drzwiach sali II wyrosło nagle trzech ludzi w kosmatych czapkach. Było przez chwilę bardzo cicho, chorzy unieśli się na łóżkach i barłogach. Żołnierze, chrząkając jakby nieco zawstydzeni, uśmiechali się przepraszająco i dotykali palcami futrzanych nauszek. Ludzie szpitalni patrzyli na nich w milczeniu, z usilną, wytężoną uwagą, szeroko otwierając oczy i usta. Wreszcie najstarszy Rosjanin, w białym kombinezonie z kapturem odrzuconym na plecy, wysunął się naprzód.

— Druzja, — wyrzekł powoli i śpiewnie — krzyżując ręce na piersi — my, bajcy Sowietskowo Sojuza, prynieśli wam swobodu i mir.

Dwaj młodsi ustawili się po jego bokach, stali więc teraz wszyscy trzej na środku izby, spoglądając wspólnym, uroczystym spojrzeniem w wynędzniałe twarze leżących. Oficer powiedział jeszcze kilka słów i urwał, uczyniwszy ręką fioletową od mrozu pozdrawiający gest. Wtedy znów zrobiło się cicho, tak że było słychać szelest akacjowej gałęzi ocierającej się o szybę. Pacjenci milczeli nie wiedząc jak się odezwać; zbyt wielkie zdarzenia zatrzęsły ich wątłym życiem. Tylko beznogi Maciejewski, który pół siedząc na łóżku nie odrywał wzroku od bajców, szepnął naraz jak gdyby w zdumionym pełnym zachwytu skupieniu.

— Ludzie moi... — i powtórzył to dwukrotnie.

Wtedy żołnierze, już nieco stropieni, znowu zaczęli się uśmiechać mówiąc coś w swoim języku, widocznie radzi, że zadźwięczały ludzkie słowa. Odpowiedziało im kilka nieśmiałych głosów, beznogi ożywił się i pokazał spod kołdry swój kikut ucięty nad kolanem. Nawet pacjent o zmiażdżonej twarzy gwizdnął zachęcająco przez dren.

Tymczasem oficer, który przechadzał się między łóżkami, nagle spotkał utkwione w siebie oczy Szarleja. Przystanął na chwilę i jakby szukając czegoś w pamięci zapytał półgłosem:

— A wy... kto? — poczem dodał patrząc nań uważnie: — polskij sołdat?

Wówczas w sali powstał ogólny hałas, bo chorzy jeden przez drugiego chcieli wytłumaczyć, kim jest nr. 115.

— Krzywda niemiecka, towaryszcz lejtnant — wołano chórem — polski partyzan, wprost z lasu tu nastał! — Z ro... wu — poprawiał Siudek. Jeden z pacjentów wyrwał kij Maciejewskiemu i mierząc z niego jak z karabinu powtarzał: — Bach! Bach! — celował przy tym w Szarleja, a sam widocznie odgrywał rolę Niemca. Oficer wszystko zrozumiał i pokiwał głową. Stał jeszcze chwilę przy łóżku 115. Szarlej widział z bliska jego twarz, szeroką, o płaskich policzkach i głęboko pod jasnymi brwiami ukrytych źrenicach. Wpatrywał się w nią długo, badawczo, z twardym bolesnym podziwem, usiłując całą mocą odgadnąć myśl zawartą w jej rysach, przeniknąć na wskroś tę twarz o łagodnym uśmiechu, prostą i tajemniczą, zarazem przyjazną i daleką, — twarz człowieka, który wyzwolił jego ziemię.

Następne dni przyniosły nowiny o Manifeście rządowym w Lublinie i o tym że u boku Armii Czerwonej bije się polskie wojsko. Te wieści znów wznieciły wśród chorych nerwowy zgiełk i zaostrzyły ich ciekawość do ostatecznych granic. Kłócono się zapamiętale o to, czy rząd przeniesie się do Warszawy, i jakie mundury mają Kościuszkowcy.

— Głupie chłopy — tłumaczył buchalter, wzgardliwie wydymając wargi. — Czy myślicie że można usiąść na kupie żużlu i rządzić? Jeżeli to jest prawdziwy rząd — tu zniżył znacząco głos — a to się dopiero okaże, no to powiadam wam, że prędzej zrobi on stolicę tutaj, w Kowalsku, niż tam, na pogorzelisku.

— Nie zawracaj pan kontrafałdy — zirytował się człowiek o zmiażdżonej twarzy — Warszawa, to Warszawa, nawet jak przypalona.

— Spójrz pan na szosę — krzyknął Maciejewski — naród wali z powrotem do domu. A co może Warszawiaków nie ma w rządzie? Iii tam! Wszędzie są, i w rządzie i w wojsku. Pójdą razem z innymi i taką zrobią stolicę, że sam pan pierwszy czapkę zdejmiesz.

Sala przyznała mu słuszność zachęcającymi pomrukami. Lisowicz skrzywił się wyniośle, poczem odwrócił się do ściany udając drzemkę. Chorzy tymczasem zaczęli rozmawiać o polskim wojsku: czy mogło już walczyć pod Stalingradem, czy też powstało dopiero później.

— Żeby tak zobaczyć chociaż jednego... — wzdychał Maciejewski oparty skronią o szczudło — żeby tak nagle stanął w drzwiach i powiedział: „Polacy, bracia, kaleki nieszczęsne, wolność ja wam przyniosłem..." Och, matko, to by zaś była radość.

Sala umilkła wzruszona, bo każdy tego mocno pragnął.

— Cie...e...kawe... też... cz...czy o...orzełki mają? — szepnął śliniąc się Siudek.

— Jakże by nie mieli — odezwał się z barłogu chory na żółtaczkę — orzeł to polski ptak, w Tatrach mieszka. Są rozmaite ptaki. Wrona na przykład niemiecki. Dawniej w Polsce nie było wron, dopiero Luter je przysłał, a teraz Niemcy na hełmach je noszą.

— Co ty pleciesz, człowieku — zadrwił ktoś z głębi sali — ptactwa jest wiele na całym świecie. Orły w górach, a wrony na polu. Nauka tak uczy.

Wśród pacjentów wybuchł spór ornitologiczny. Sala rozpadła się na dwa obozy, z których jeden twierdził, że ptaki były zawsze międzynarodowe, a drugi — że ich pochodzenie jest różne

i wrona jest ptakiem niemieckim. W tej ostatniej kwestii postanowiono przesłuchać Niemca Zimmermayera, gefrajtra Wehrmachtu, którego chłopi po wkroczeniu Rosjan złapali w pobliskiej wsi zagrzebanego w sianie. Pracował teraz jako posługacz w szpitalu.

Zimmermayer to było niezwykłe przeżycie sali II. Ludzie szpitalni mieli w sercach nieostygłą nienawiść: każdy rozszarpałby hitlerowca własnymi rękoma — za swoje krzywdy, choroby i rany. Wprawdzie leżeli bezwładni, skrępowani bandażami, lecz każdy od dawna przechowywał w duszy obraz słusznej zemsty i czcił go jak świętość. Tymczasem gdy Zimmermayer po raz pierwszy ukazał się w drzwiach, mały, pokracznY w swym kusym kitlu bez odznak, i kiedy zdrętwiałym ze strachu głosem powiedział: — Gut Morgen — pacjenci, którzy z początku srogo wpili weń wzrok — zgłupieli. Ten przerażony pokorny człowieczek, o dużej głowie okolonej rdzawymi włoskami był zupełnie inny niż krwawe hordy, które paliły Warszawę. Przez chwilę trwała pełna osłupienia cisza, a potem chorzy zaczęli kląć i złorzeczyć wygrażając pięściami. Czynili to jednak bez głębszego przekonania, jak gdyby dla porządku i trochę zawiedzeni — a Zimmermayer stał przez ten czas w drzwiach, w postawie na baczność, lecz ze zwieszoną głową, i wszyscy spostrzegli, że ma zamknięte oczy. Po chwili wrzawa ucichła, jeszcze ten i ów splunął w jego stronę, ale na ogół gniew opadł.

— Ech! — mruknął wreszcie Maciejewski — to nie jest prawdziwy szkop. Tamci byli inni... Podaj basen! — wrzasnął nagle do Zimmermayera i pogroził mu kijem. Jeniec zrozumiał, znalazł basen i przydreptał posłusznie do łóżka kaleki.

Po kilku dniach okazało się jednak, że Zimmermayer jest prawdziwym Niemcem. Z rozmów, jakie z nim prowadzili chorzy, z rana, podczas gdy sprzątał salę, wyszło na jaw że nowy posługacz pochodzi z Lubeki, gdzie pracował jako kelner w hotelu Pod Trzema Lwami. Do pacjentów zwracał się, zapewne z przyzwyczajenia, per gnädige Herren, baseny podawał z grzecznym uśmiechem, mówiąc „bitte sehr", jak gdyby stawiał na stole kufel bawarskiego piwa. Kiedy go pytali, czy zabijał Polaków — Zimmermayer nie usiłował przeczyć, a na pytanie dlaczego to robił, odpowiadał przymykając oczy: — Tak trzeba było, gnädiger Herr. Chorzy dali mu w końcu spokój, tym bardziej, gdy stało się wiadome, że gefrajter stracił żonę i dziecko podczas bombardowania Lubeki. Sala zaczęła go uważać za coś w rodzaju dodatku do własnej niedoli; przestano mu nawet mieć za złe, że nie nadawał się na obiekt zemsty. Dawny wróg dzień za dniem przemieniał się w zwyczajny element szpitalnego życia i nikt już nie próbował zrozumieć, dlaczego Zimmermayer zabijał Polaków. Nieco odmienne stanowisko zajął wobec niego Arkadiusz Pogoda. Człowiek ten wszystko oceniał inaczej niż inni. Być może dlatego, że przybył z dalekich stron.

Kazimierz Brandys

(Dokończenie w następnym numerze)

WACŁAW ŚWIERADOWSKI

„HAMLET" OLIVIERA

Na ekrany Polski wszedł film „Hamlet" — jak głosi napis na taśmie — nagrodzony „Grand Prix" na Biennale weneckim w roku 1948. W zestawieniu z innymi schyłkowymi filmami, które od paru lat wyświetlane są w Wenecji, jest to nagroda niewątpliwie zasłużona, budzi jednak daleko idące zastrzeżenia, gdy porówna się „Hamleta" z innymi filmami zrealizowanymi w tym roku, a nie dopuszczonymi do festiwalu w Wenecji.

Oceniając film „Hamlet" trzeba więc mieć na uwadze, że jest to główna nagroda kinematografii zachodniej, a wyróżnienie takie nieraz świadczy na niekorzyść filmu. Wystarczy przypomnieć, że w roku 1949 Wenecja oceniła jako najlepszy makabryczny film Clouzota „Manon", podczas gdy Cannes nadało główną nagrodę antyradzieckiemu filmowi „Trzeci mężczyzna".

Zapewne formalne względy zadecydowały o przyznaniu nagrody dla „Hamleta", gdyż koncepcja Alana Denta i Laurence'a Olivier budzi bardzo poważne zastrzeżenia.

HAMLET ROMANTYCZNY

Ująwszy bardzo wiele z szekspirowskiego tekstu „Hamleta", Olivier dodał do tragedii tylko dwa wiersze, ale jakże charakterystyczne. Brzmią one: „Jest to historia człowieka, który nie umiał się zdecydować". Tym wstępem Olivier zapowiada, że pójdzie po linii romantycznej interpretacji treści „Hamleta" pielęgnowanej w teatrze „Old Vic".

Tekst tragedii „Hamlet" daje co prawda pole do bardzo swobodnych interpretacyj. Postać Hamleta komentowano w rozmaity sposób: jako bojownika o prawdę i dobro, jako niezdecydowanego, słabego księcia, jako królewicza prowadzącego własną politykę, jako człowieka, który cierpi i pozostaje zawsze niezdecydowany. Wiele jeszcze innych było prób odnalezienia właściwych intencji Szekspira, które przetrwały tylko w ustnej tradycji. Jak się zdaje, główną troską Szekspira było przedstawienie walki dobra ze złem. Sposób i pasja z jaką Szekspir przedstawia korupcję dworu, służalstwo, najwstrętniejsze cechy dworaków, charakter króla Klaudiusza — wszystko to przemawia na korzyść tej tezy.

W sztuce krajów kapitalistycznych tylko to jest dla nas piękne i trwałe, co jest postępowe, co świadczy o proteście, buncie, o dążeniu do postępu społecznego. W czasach, w których „Hamlet" był pisany, takie ujęcie postaci króla oraz jego otoczenia miało niewątpliwie charakter rewolucyjny, było oskarżeniem tego, co nazywano złem; postać głównego bohatera wyrażała protest przeciwko obłudzie, zakłamaniu, zbrodni.

Współczesny, filmowy „Hamlet" winien był wydobyć na światło dzienne, podkreślić i uwypuklić te właśnie wartości sztuki. Ale na rewolucyjną koncepcję Oliviera nie było stać, a może nie jest to wykonalne w dzisiejszej Anglii? Niemniej w wypowiedziach Alana Denta, Oliviera i wielu innych — nieraz znakomitych współtwórców filmu — nie ma ani śladu troski o nowe spojrzenie na sztukę, nie ma starań o właściwą interpretację postaci duńskiego księcia.

Pozostaliśmy przy Hamlecie romantycznym, oldvicowskim, zgodnym w ogólnych zarysach z przedstawieniem teatralnym, w którym Olivier grał tę samą rolę przed wojną. A przecież taśma filmowa to nie przemijające przedstawienie, lecz trwały dokument, taśma filmowa dociera wszędzie do najmniejszych osad, do milionów widzów, którzy nigdy nie widzieli, a czasem nawet nigdy nie słyszeli o „Hamlecie". Biorąc to wszystko pod uwagę nie ma wątpliwości, że Olivier nie spełnił swego obowiązku wobec najbardziej może znanego dzieła Szekspira.

POZOSTAJE FORMA...

W przeciwieństwie do zupełnego braku zainteresowania treścią dramatu, Dent, Olivier oraz ich współpracownicy poświęcili wiele czasu na przystosowanie sztuki, której pełne wystawienie zajmuje ponad 4 godziny do — seansu filmowego, nie przekraczającego dwie godziny i czterdzieści minut. W tych warunkach Olivier uznał, że schematyczne wycięcie scen i pozlepianie pozostałych według ich kolejności nie da pożądanej formy dramatycznej. Zaczął więc próbować usuwać nie sceny, lecz postaci i w konsekwencji wyciął wszystkie sceny z tymi postaciami. Jeżeli jedna z wykreślonych osób wypowiadała ważną kwestię, Olivier bezceremonialnie przenosił ją w usta innego bohatera.

W wyniku tych skrótów usunięte zostały postaci: Fortynbrasa, Woltymanda, Korneliusza, Rosenkrantza i Gildensterna. Z mniej ważnych zniknęli: drugi grabarz, Reynaldo, kapitan i ambasador.

Poloniusz wypowiada kilkakrotnie „kwestie" Gildensterna oraz Rosenkrantza, podczas gdy Horacy zastępuje w jednym zdaniu Hamleta w rozmowie z Grabarzem i wygłasza część mowy Fortynbrasa z ostatniego aktu.

Z usunięciem pomniejszych postaci można się jeszcze zgodzić. Bardziej bolesna jest strata tak charakterystycznych złych duchów jak Gildenstern i Rosenkrantz. Oto co pisze adaptator tekstu Dent na ten temat: „Sam Hamlet — gdyby żył — nie pozbawiłby się tych fałszywych przyjaciół, dających mu nieustanne pole do kpin. Te wycięcia uwarunkowała z góry długość filmu. Czerwony ołówek uśmiercił niosące śmierć postaci, zanim się po raz pierwszy pokazały".

Zasadniczym, nie dającym się obronić błędem filmu jest pominięcie Fortynbrasa. Fortynbras co prawda nie bierze bezpośredniego udziału w dworskim konflikcie, ale pozostawiony przez Szekspira poza nurtem dramatu, jest także w pewnym sensie ponad nim. Gdy trupy zasłały wielką salę Elsynory, wchodzi ktoś, kto zjawieniem się swoim określa, że nie wszystko skończone, że zamiast morderstw, podjudzeń, chaosu — możliwe są jeszcze rządy prawa. Jest to ten optymistyczny akcent, ten rzut oka w przyszłość, o którym Szekspir w dziełach swych nigdy nie zapominał, chociaż akcentował w rozmaity i nie zawsze tak wyraźny sposób.

Dent stara się wmówić czytelnikom swych wypowiedzi, że „usunięto Fortynbrasa nie bez żalu. Olivier i ja doszliśmy do wniosku, że zjawia się on w tragedii późno i nie dlatego, aby los Danii po śmierci Hamleta interesował kogoś tak bardzo, ale celem wypowiedzenia słynnego monologu: — jak wszystkie okoliczności sprzysięgły się przeciw mnie. — Scena ta dla filmu jest zbyt statyczna. Olivier pożegnał się z Fortynbrasem z niemniejszym bólem niż ja".

W rozważaniach nad „Hamletem" filmowym dochodzimy tutaj do bardzo ważnego momentu. Jeśli bowiem autorzy adaptacji „żegnali się z bólem" z ważnymi postaciami, to czy — patrząc na gotowy film — nie widzimy w nim scen, z którymi mogliby pożegnać się z o wiele mniejszym bólem?

Do takich należy — świetna skądinąd — scena pouczania aktorów jak winni interpretować sztukę. Ta doskonała lekcja gry aktorskiej jest celowa w sztuce, gdy potem aktorzy występują na wewnętrznej scenie w dość długich rolach. W filmie, gdzie przedstawienie przed królem ograniczono do pantominy — dość długa scena pouczeń wisi w próżni i nie ma swego odpowiednika w przebiegu akcji.

Jednym z najlepszych dowodów formalistycznego ujęcia treści „Hamleta" jest reprodukowany powyżej fotos. Dzięki zastosowaniu obiektywu o głębi ostrości udała się Olivierowi „najdalsza na odległość scena miłosna w historii kinematografii". Z fotela w sali recepcyjnej, na którym duma Hamlet, (Laurence Olivier), widzi on w dalekiej perspektywie Ofelię (Jean Simmons) w chwili, w której Poloniusz zakazał jej dalszego widywania się z księciem.

Spośród bardzo wielu przeniesień tekstu, najważniejsze dotyczy chyba monologu „Być albo nie być", który został zamknięty w sekwencji po rozmowie z Ofelią, a nie przed rozmową. Przeniesienie to kładzie nacisk na tę część czynów Hamleta, którą Olivier uwypuklił, jako działanie świadome.

Hamlet w filmie wyraźnie zauważa, że jest podsłuchiwany i z całą pasją wykazuje Ofelii swą pogardę — mimo, że ją nadal kocha. Takie ukazanie sceny jest pójściem na łatwiznę, niedocenianiem filozoficznej myśli Szekspira.

Mimo tych — i wielu innych zastrzeżeń, na których omówienie brak miejsca — trzeba przyznać Olivierowi, że stworzył on film dramatycznie jednolity i przejmujący, a stało się to częściowo dzięki odstąpieniu od założeń swej własnej inwokacji. Wbrew zapowiedzianego człowieka, „który się nie umiał zdecydować", widzimy bowiem, im dalej, tym wyraźniej, Hamleta, który świadom otaczających go zasadzek, działa z należytą energią. Ta postawa wychodzi szczególniej na jaw we wspaniałej scenie pojedynku.

SCENERIA

Jak już wykazaliśmy, przede wszystkim zagadnienia formalne zaprzątnęły Denta, Oliviera i nie pozostały bez wpływu na koncepcję dekoracyjno-kostiumową Rogera Furse. Podczas gdy w „Henryku V" Olivier rozmaitymi sposobami podkreślał sceniczność i teatralność swego filmu, w „Hamlecie" poszedł zupełnie inną drogą. Wprowadził kamerę do wnętrza Elsynoru — w jego interpretacji romańskiego — ponurego zamku. Wprowadziwszy jednak widzów (wraz z kamerą) do wnętrza, Olivier tu i ówdzie wstrzymał się przed realizmem dekoracyjnym. W niektórych wypadkach zastawka malowana, w innych kotara typu kulisowego, w jeszcze innych wyraźna ściana z kartonu z domalowanymi oknami, mają nam sugerować, że to wszystko jednak nie dzieje się naprawdę.

Mimo, że autorzy filmu nie tłumaczą takiej koncepcji dekoracyjnej, nasuwa się przypuszczenie, że chcieli jednak zachować pewien dystans wobec dzieła. We współczesnym filmie nie jest do pomyślenia scena końcowa, wypełniona trupami aż czterech głównych bohaterów, którzy pod wpływem trucizny padają jak muchy. Być może Olivier wolał tu i ówdzie podkreślić teatralne ujęcie dramatu, warunkujące natłoczenie pewnych zdarzeń w niewielkiej przestrzeni sceny.

Drugą cechą dekoracji jest absolutna nieobecność jakichkolwiek sprzętów, które nie biorą udziału w akcji. Istnieje tylko tyle foteli i krzeseł ile potrzeba dla aktorów, tylko jeden stół, tylko nieodzowna ilość kotar, tylko jedna szkatuła i jedna książka, którą czyta Hamlet.

Taka koncepcja dekoracyjna — wobec ogromu zamku — jeszcze bardziej odrealnia dramat i tworzy wrażenie, że rozgrywa się on w próżni, w jakimś właśnym filmowym wymiarze. Nie trudno zauważyć jak bardzo jest to niebezpieczne.

Dekoracje i stroje są wspaniałe wspaniałością secesji. I tu Roger Furse podkreślił teatralność wydarzeń każąc na przykład królowi (z wyjątkiem jednej sceny) nie rozstawać się z koroną, królowej z diademem, a wszystkim postaciom nosić stroje wymuskane, przyniesione najwidoczniej wprost z garderoby, nie będące w codziennym użyciu.

Taką koncepcję ożenił Olivier z nawskroś filmową reżyserią wydarzeń. Kamera umieszczona to na wózku trawellingowym, to na ramieniu żurawia znajduje się w nieustannym ruchu, bogate użycie oświetleniowych możliwości scenerii filmu czarno-białego, śmiałe przejścia z jednej sceny w drugą, zdjęcia nakładane, fotomontaże — to wszystko świadczy o pełnym — zbyt pełnym nawet — wykorzystaniu języka filmowego.

W niektórych wypadkach pomysłowość artystyczna Oliviera daje doskonałe wyniki, jak na przykład w scenie odtwarzającej przedstawienie przed królem. Doskonałość tego fragmentu wymaga niewątpliwie specjalnej analizy. W innych miejscach niczym nie usprawiedliwiona ruchliwość kamery jest całkowicie zbyteczna. Razi ona szczególniej w rozmowie króla z Laertesem, gdzie aparat podjeżdża i oddala się bez żadnej przyczyny treściowej. Dobrze natomiast wykorzystał Olivier „dialog wewnętrzny" wypowiadany głosem Hamleta — ale bez poruszania ust. Jest to właściwa filmowo interpretacja, tego co nazywamy „monologiem na stronie".

W ogólnej koncepcji dekoracyjnej filmu razi swym drobnomieszczańskim „realizmem" scena śmierci Ofelii, przedstawiająca „piękną topielicę" płynącą na powierzchni wody. Co prawda scena ta jest żywcem przeniesiona z obrazu Johna Millaisa, bardzo popularnego w Anglii, ale tym bardziej nie powinna być „ożywiana" w filmie.

Niewątpliwie świetnie udała się Olivierowi scena pojedynku, przy czym tak zawsze trudny do odtworzenia w teatrze moment wymiany rapierów został tutaj doskonale umotywowany i stanowi jeszcze jeden akcent świadomej działalności Hamleta.

AKTORZY

Film, w koncepcji swej błędny, w oprawie artystycznej wątpliwy, jedną ma zaletę: doskonałą obsadę aktorską. Rzadko mamy możność oglądania tak znakomitych kreacyj na ekranie.

Przeważnie w filmie występują znani interpretatorzy ról szekspirowskich (między innymi Felix Aymler — Poloniusz grał w dwu filmach z dzieł Szekspira), ale nawet debiuty wypadły doskonale dzięki świetnej rezyserii Oliviera. Jean Simmons jest Ofelią wprost rewelacyjną. Mimo, że nagranie jej scen trwało tylko 20 dni (na taki okres kapitalista Rank „wypożyczył" ją Olivierowi), młodociana artystka umiała stworzyć Ofelię prawdziwą, pełną czaru, bogatą w środki artystyczne, szczerze wzruszającą w chwili szaleństwa. Znaczne trudności, jakie powoduje obsada roli królowej (matki trzydziestoletniego Hamleta, ale dość jeszcze atrakcyjnej dla króla) nie zostały całkowicie usunięte. Eilen Herlie (debiut filmowy) gra rolę królowej bezbłędnie, ale jest stanowczo za młoda. Błąd ten mści się w scenie rozmowy królowej z synem, która nosi wyraźny charakter kazirodczy, zgodny znów z romantyczną (i późniejszą freudowską) koncepcją interpretatorską, ale z pewnością nie zgodny z wolą autora. Przemyślaną i poważną kreację daje Felix Aymler jako podejrzliwy i usłużny dworak Poloniusz. Basil Sidney jako król przystosował się z całą pewnością do woli reżysera, aby być królem niemal jak z baśni: groźnym, stanowczym, nie zapominającym o koronie. Najlepszy jest w trakcie modlitwy, gdy zatraca swą królewskość. Spośród dalszej, świetnej obsady razi tylko Osric jakby wycięty z innego filmu i — to już wina wyłącznie reżysera — niepotrzebnie spadający ze stopni pałacu. Kunszt aktorski Laurence'a Olivier zabłysnął w roli Hamleta. Na szczególną uwagę zasługuje głos aktora, wprost znakomicie przystosowujący się do rozlicznych sytuacji. Jest to z pewnością jeden z najbardziej fonogenicznych głosów jakie słyszeliśmy.

Jeszcze krótki rzut oka na postać ducha. Duch, to dziedzina par excellence filmowa. Jest to też popularna osobistość filmów hollywoodzkich i Olivier, poprzedzony rogiem obfitości śmiesznych duchów made in Hollywood, nie miał łatwego zadania wprowadzając ducha, trochę innego gatunku.

Ostatecznie widzimy ducha ojca Hamleta jako postać z zaświatów, żyjącą, cierpiącą i działającą w sposób zupełnie ludzki. Olivier wybierając taką drogę położył nacisk na mistyczność tej postaci, a przez wypieszczoną oprawę techniczną zjawiska zaciążył tą koncepcją egzystencjalistyczną nad całym filmem.

Scena z duchem dzieli się mechanicznie na samo pojawienie się — zrobione niewątpliwie z ambicją pokazania i posłyszenia „najlepszego ducha w historii kinematografii" — oraz sceny wrażenia jakie wywiera widziadło. Ta druga jest znacznie lepsza.

Całość uzupełnia znakomita muzyka Williama Waltona. Kompozytor podkreślił romantyczną koncepcję filmu i zasłużył się kompozycją nadzwyczaj pięknego marsza, który towarzyszy odprowadzeniu ciała Hamleta.

PRZEKŁAD

Autor filmowego przekładu Hamleta, profesor Chwalewik, stanął wobec zagadnienia, które było trudne do rozwiązania. Dent nie tylko skrócił treść dialogów filmu (o połowę), ale ponadto poprzestawiał je. Wreszcie, nawet tak skrócone dialogi nie mogły być przetłumaczone w całości, gdyż napisy przesłoniłyby pół ekranu. Trzeba więc było opracować całkowicie nowe tłumaczenie nie tylko nie opierając się na dawniejszych czy nowszych tekstach, ale odchodząc od nich dość daleko.

Jednym z najdoskonalszych przekładów jest do dzisiaj przekład J. Paszkowskiego. Oto próbka języka:

Horacy:

> Jako żyw tu stoję, Mości Książę, jest to
> Rzetelną prawdą, i mieliśmy sobie
> Za obowiązek donieść o tym Waszej
> Książęcej Mości.

Przekład R. Brandstaedtera:

> Jak tutaj stoję, książę, mówię prawdę.
> Poczytujemy za nasz obowiązek
> O tym ci donieść.

Przekład prof. Chwalewika:

> Prawda szczera na honor, mój książę,
> z tym przychodzimy.

Rzuca się w oczy zmniejszanie się ilości użytych słów zbliżając tekst do angielskiego oryginału. U Chwalewika oszczędność ta poszła dalej, także ze względu na brak miejsca, przy czym tłumacz zastosował bardzo ciekawy układ graficzny wiersza nie roniąc nic z treści dramatu.

Niestety brak nam miejsca na szerszą analizę tego nowego tłumaczenia. Unowocześnienie języka, słuszna interpretacja słów świadczących o walce Hamleta przeciw ciemnym machinacjom dworu i zrozumiałość tragedii dla masowego widza — oto najogólniej zalety przekładu profesora Chwalewika. Szkoda tylko, że laboranci nie zauważyli wartości przekładu wkopiowując zupełnie bezmyślnie białe napisy na jaskrawo białym tle, przez co odpada około 10 proc. tekstu.

*

Dzisiaj, w dwa lata po zrealizowaniu „Hamleta", można już z całą stanowczością powiedzieć, że film nie zaspokoił nadziei i stał się pewnym wydarzeniem jedynie w zakresie techniczno-artystycznym. Powstaje pytanie, czy w ogóle filmowa wersja „Hamleta" jest obecnie celowa, czy więcej lub mniej przejmujące dzieje duńskiego księcia są właściwym tworzywem filmowym. „Hamlet" Oliviera z dialogami Szekspira pozostawia tę kwestię nierozstrzygniętą.

Wacław Świeradowski

Stolik montażysty filmowego

POKÓJ JEST CZĘŚCIĄ KOMUNISTYCZNEJ PROPAGANDY...

„Zarzut" zawarty w tytule wydaje nam się dość szczególny.

Ale zarzut taki na bruku paryskim wypowiedziany przez oficjalnych rzeczników rządu francuskiego jest poważny i brzemienny w skutki. Innymi słowy: Propagujesz pokój?! Taki z ciebie łotr? Pokoju ci się zachciewa? Otóż musisz wiedzieć, że pokój jest częścią komunistycznej propagandy".

Oto jak wyglądało zakończenie pewnej drastycznej sprawy, wróćmy jednak do początku.

Francuska realizatorka filmowa, Nicole Vedrés, całkowicie neutralna w opiniach politycznych, oraz André Labarthe zrealizowali — jak na francuskie stosunki — dość odważny film pt. „Życie zaczyna się jutro". Treść filmu, to ankieta młodego człowieka, który przybył do Paryża, aby u rozmaitych znakomitości dowiedzieć się jaki los według nich czeka świat w najbliższej przyszłości.

Młody człowiek pyta takich ludzi jak Sartre, który widzi świat w barwach ponurych, jak le Corbusier, który zamknięty w kręgu architektury formalistycznej oświadcza, że „nic go nie obchodzi". Ale bohater filmu nie poprzestaje na tych wypowiedziach. Chce żyć, chce usłyszeć bardziej optymistyczne wypowiedzi. Idzie do profesora Joliot-Curie.

Począwszy od tego momentu film wskazuje nową drogę dla świata. Energia atomowa nie musi być użyta do zniszczenia ludzkości, lecz może być zastosowana do działalności pokojowej.

I oto wybucha skandal. Do działalności pokojowej? Energia atomowa? Przecież to moskiewska, komunistyczna koncepcja. To oni wymyślili jakieś tamy, zapory wodne i różne inne nikomu nie potrzebne inwestycje strasząc całą ludzkość widmem pokoju.

W filmie „Życie zaczyna się jutro" Sartre, Corbusier i wielu innych wypada blado, nieprzekonywująco na tle wypowiedzi Joliot-Curie i Picasso, którzy wierzą w pokojowy rozwój ludzkości.

„Jest to film wywrotowy" krzyczą rządowe pisma francuskie. „Trzeba coś zrobić, aby zapobiec jego działaniu".

I oto „Radio Paris" wymyśla sposób. Dyrekcja nakazuje dziennikarzowi Jean Vidal nagrać kilka wypowiedzi spośród zebranej na specjalnym pokazie publiczności. Będą to — jak przypuszcza „Radio Paris" — wypowiedzi potępiające. Tymczasem pracownicy Komisariatu Energii Atomowej (i byli współpracownicy usuniętego przez rząd francuski prof. Joliot-Curie) wypowiedzieli się jak następuje:

„Od czasu odwołania prof. Joliot my wszyscy: technicy, pracownicy naukowi, robotnicy staramy się kontynuować pokojowe dzieło profesora i jesteśmy zdecydowani iść dalej po tej drodze".

Drugi głos: „Film jest głośnym alarmem w tej ważnej dziedzinie. Zależy nam na tym, aby wiedziano, że my wszyscy pracujemy nad rozwojem energii atomowej w celach pokojowych. Jesteśmy bez wyjątku solidarni w obronie tak niesłusznie usuniętego naszego szefa prof. Joliot-Curie".

Trzeci głos: „Sadzę, że w filmie są słuszne sformułowania i dobrze się stało, że pokazano go publiczności. Żałuję tylko, że wychodząc z sali niejeden może zapomnieć, co widział. Byłoby dobrze, aby pokojowe tendencje części filmu działały na widzów gdy już wyjdą z sali".

Mimo, że dyrektorem działu „Paryż do was mówi" — Radio Paris — jest były mistrz sportu w konkurencji szybkobiegaczy, nie zdążono jednak na czas wyeliminować tak „wywrotowej" audycji.

Dziennikarz Jean Vidal, który tendencyjnie podsłuchiwał wypowiedzi pracowników Komisariatu, został zawieszony w swych prawach i przekazany do komisji dyscyplinarnej za „jednostronne opracowanie reportażu i brak obiektywizmu" (!).

Jean Vidal powiedział: zgodnie z poleceniem mego kierownika pytałem bez wyboru osoby obecne na sali. Nic nie zmyśliłem.

A na to panowie z komisji:

„Nie należy się zwracać do nikogo spośród publiczności, gdyż zawsze komuniści odzywają się pierwsi. Pokój jest częścią składową komunistycznej propagandy i dlatego nie może być tolerowany w „Radio Paris".

Łzy wzruszenia cisną się do oczu po przeczytaniu tak szlachetnej w treści i w formie maksymy. Potępiono film, należy więc konsekwentnie potępić publiczność, która chce, aby „Życie zaczęło się jutro".

Rząd francuski woli aby „Śmierć zaczęła się jutro".

Cóż... może GO nie ominie? **Puk.**

Józef Ignacy Kraszewski
SZAŁAWIŁA
Powieść
str. 203 zł 150

Lew Tołstoj
DZIECIŃSTWO, LATA CHŁOPIĘCE, MŁODOŚĆ
str. 403 zł 350

Antoni Gołubiew
BOLESŁAW CHROBRY
Cyklu Część III
ZŁE DNI
Powieść. Tom I
str. 449 zł 550

Dla dzieci i młodzieży
Antonina Żabińska
DŻOLLY i S-ka
Z dziejów Warszawskiego Ogrodu Zoologicznego
Wyd. 3
str. 74 zł. 150

Samuel Marszak
PRZYJEMNY DZIEŃ
str. 76 zł 230

„Czytelnik"

EGON NAGANOWSKI

NIEPOKONANA ULICA

Jan Petersen

W czerwcu 1935 r. odbywał się w Paryżu I. Międzynarodowy Kongres Pisarzy dla Obrony Kultury, na którym postępowi ludzie pióra z wielu krajów ostrzegali narody Europy przed rozprzestrzeniającym się faszyzmem i napiętnowali dobitnie barbarzyństwo hitleryzmu. W imieniu niemieckich emigrantów wygłosił wtedy świetne przemówienie Henryk Mann, a po nim wszedł na mównicę człowiek w czarnej masce i przekazał Kongresowi pozdrowienia od antyfaszystowskich pisarzy, którzy ożywieni wolą bezpośredniej walki z przemocą dobrowolnie pozostali w III Rzeszy. Słowa przedstawiciela niemieckiego ruchu oporu wywarły na zebranych głębokie wrażenie. Łatwo sobie wyobrazić, że w kuluarach zjazdu snuto najróżniejsze domysły na temat osoby zagadkowego mówcy, który natychmiast po zakończeniu obrad opuścił gmach w towarzystwie kilku niemieckich emigrantów. Dopiero w jakiś czas potem cała ta konspiracja okazała się, niestety, już niepotrzebna. Gdy bowiem wysłannik zza Renu zamierzał właśnie wrócić przez zieloną granicę na teren podziemnej walki, nadeszła do Paryża wiadomość, że gestapo wykryło nielegalną grupę lewicowych pisarzy berlińskich i poszukuje „znanego komunisty", który stał na jej czele.

Tym „znanym komunistą" był właśnie tajemniczy uczestnik paryskiego kongresu, 29-letni podówczas pisarz Jan Petersen.

Jan Petersen ogłosił już przed rokiem 1933 szereg antyfaszystowskich opowiadań, artykułów i wierszy, a po przewrocie hitlerowskim drukował swe prace anonimowo w podziemnym piśmie literackim „Stich und Hieb". Współpracował też z emigracyjnymi „Neue Deutsche Blätter", ukazującymi się w Pradze pod redakcją Oskara Marii Graf, Wielanda Herzfelda i Anny Seghers. Ale młody pisarz nie zadawalał się literacką walką ze znienawidzonym reżimem. Kierując bowiem wspomnianą grupą antyfaszystowskich autorów brał jednocześnie czynny udział w ściśle politycznej robocie, prowadzonej przez bojowników komunistycznego ruchu oporu. Od pierwszej chwili stanął ramię w ramię z uświadomionymi robotnikami berlińskiej dzielnicy Charlottenburg, w której sam się urodził i przez dwa lata, do wyjazdu do Paryża i przymusowego pobytu na emigracji narażał dzień po dniu życie, by podtrzymywać wraz z towarzyszami sztandar wolności, sprawiedliwości i prawdy wśród szalejącej burzy brunatnego terroru. Koleje tej dramatycznej walki spisywał na gorąco, w najtrudniejszych warunkach, dręczony ciągłą obawą, że rozrastający się rękopis wpadnie w niepowołane ręce. Tak powstała kronika powieściowa z lat 1933 — 1934, którą autor przeniósł ukrytą w upieczonym cieście przez granicę niemiecko-czeską, a potem na emigracji ogłosił drukiem pt. „Nasza ulica" *).

Tą tytułową „naszą ulicą", stanowiącą teren wszystkich prawie wypadków opisywnych przez Petersena, jest robotnicza Wallstrasse, ciągnąca się „niby długa, szara rozpadlina" przez berlińską dzielnicę Charlottenburg. Opowieść zaczyna się 21 stycznia 1933 r., w przededzień prowokacyjnej manifestacji szturmowek SA przed domem im. Karola Liebknechta, siedzibą Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Niemiec, a kończy się w połowie czerwca 1934 r. spontaniczną manifestacją antyhitlerowską podczas pogrzebu komunistycznego bojownika Ryszarda Hüttiga. Zdając sprawę z tego, co się w tym okresie czasu działo na Wallstrasse i wiążąc te wypadki z powszechnie znanymi wydarzeniami politycznymi, jak objęcie władzy przez Hitlera w dniu 30 stycznia 1933 r., podpalenie Reichstagu, aresztowanie Thälmanna, wybory z 5 marca, proces Dymitrowa itd. Petersen napisał dokumentarną kronikę jednej robotniczej ulicy, której dzieje można uważać za reprezentacyjne dla wielu innych ulic robotniczych w III Rzeszy. Autor nie obciąża przy tym swej relacji żadnymi sprawami, nie wiążącymi się bezpośrednio z antyfaszystowską działalnością i walką. Nawet drobne, z pozoru mniej istotne obserwacje, których sporo znajdujemy w książce, wnoszą wiele do odmalowywanego obrazu, mówią o nastrojach, sympatiach i antypatiach ludności.

„Nasza ulica" daje przede wszystkim świadectwo historycznej prawdzie, że jedyną siłą, która się w Niemczech realnie i w sposób zorganizowany przeciwstawiła hitleryzmowi byli komuniści. To oni do chwili zdelegalizowania partii przez władze nazistowskie odpowiadali na faszystowskie prowokacje organizowaniem potężnych manifestacji robotniczych, ich hasło „Rotfront" wybijało się często ponad obłędny ryk „Sieg-Heil", ich organizacja samoobrony tzw. Straż Domowa chroniła życie i mienie robotników przed brutalnymi pięściami bojówkarzy spod znaku SA. Potem zaś, gdy miejsce republiki weimarskiej zajęło państwo faszystowskie, jedynie komuniści potrafili zmontować ruch oporu, wydawali tajną prasę, rozlepiali i rozrzucali uświadamiające ulotki, podtrzymywali w robotnikach wiarę w lepszą przyszłość i nieuchronną klęskę hitlerowskich uzurpatorów. Na wszystko to Petersen przytacza liczne, przekonywujące przykłady. Plastycznie, choć bez jakichkolwiek literackich upiększeń opisuje pełne rewolucyjnej dynamiki pochody komunistyczne, reakcję Wallstrasse na nocne najście SA-mannów, pijanych triumfem po mianowaniu Hitlera kanclerzem Rzeszy, pierwsze tygodnie konspiracji, gdy niższe komórki partyjne przejściowo utraciły łączność z centralą a jednak, dzięki odwadze, inicjatywie i dyscyplinie towarzyszy nie ustawały w działalności, przystosowując się do nowych, jakże trudnych warunków. Autor opisuje powstawanie i kolportowanie pierwszych numerów tajnej „Die Rote Fahne", powielanej nad ranem w jakimś opuszczonym właśnie przez gości kabarecie, ukazuje różne sposoby i chwyty tzw. małego sabotażu, gdzie szybkość orientacji i zimna krew pozwalały wykonywać zadania zdawałoby się niewykonalne. Widzimy bohaterstwo poszczególnych towarzyszy, ich losy często tragiczne, ich nieugiętość w kaźniach gestapo.

Ale mimo, że książka — jak czytamy w przedmiowie — ma być „hołdem złożonym pamięci ofiar charlottenburskich", pomnikiem dla „tysięcy, dziesiątków tysięcy bezimiennych bohaterów, którzy narażeni na śmierć i więzienie wiedli swą nieustraszoną walkę", mimo to nie ma ona bynajmniej charakteru apoteozy. Petersenowi chodzi o prawdę i zgodnie z historyczną prawdą nie ukrywa również błędów popełnionych przez niemieckich komunistów. Z „Naszej ulicy" można wyciągnąć bardzo ciekawe wnioski.

U niemieckich komunistów opisywanego okresu zwraca przede wszystkim uwagę coś, co dałoby się określić jako „choroba legalizmu". Mając do czynienia z pozbawionym wszelkich skrupułów i używającym brutalnej przemocy przeciwnikiem, sami oni jeszcze u schyłku republiki weimarskiej z przesadną skrupulatnością wystrzegali się wszelkich tzw. nielegalnych środków działania, mówili robotnikom: „broni używać tylko w ostateczności", nie budzili w nich w odpowiednim stopniu ofensywnego ducha. Dlatego też w decydującej chwili oddali faszystom władzę nie stawiwszy zbrojnego oporu. Potem wprawdzie błąd swój zrozumieli, ale wtedy było już za późno. Nie udało im się również wywołać powszechnego strajku, bo nie mieli większości robotników za sobą, bo nie przeniknęli dostatecznie do związków zawodowych, które od razu skapitulowały przed Hitlerem. A strajkowanie bez instrukcji związkowych, bez kas strajkowych nie mieściło się ogółowi robotników niemieckich w głowie. Na płomienne odezwy strajkowe komunistów rozprzestrzeniane za późno, bo dopiero nazajutrz po objęciu władzy przez Hitlera, odpowiadali milczeniem lub bezradnym ruchem ramion. Petersen ilustrując te gorzkie prawdy konkretnymi faktami pokazuje jednak zarazem, jak towarzysze jego wyciągali wnioski z doznawanych klęsk, jak czerpali z nich naukę na przyszłość. Z tej nauki korzystali potem w konspiracji, kiedy to partia, ochłonąwszy z chwilowego oszołomienia, znów odbudowywała się i rozszerzała swoją podziemną, wyzwoleńczą działalność. Wtedy komuniści podjęli również wysiłki, by nawiązać bliższy kontakt z socjaldemokratami i wyrwać ich z marazmu, z tchórzliwego bezruchu, w który popadli wskutek kapitulanckiej polityki swojej góry partyjnej. Z inicjatywy komunistów zaczęto montować jednolity front robotniczy, rozumiejąc, że „nazi zagarnęli władzę, bo klasa robotnicza nie zdołała zjednoczyć swych sił do walki".

W przeciwieństwie do niektórych innych dzieł, poświęconych antyfaszystowskiemu ruchowi oporu w III Rzeszy, by wspomnieć choćby „Siódmy krzyż" Anny Seghers, książka Petersena tchnie siłnym, z głębi przekonania płynącym optymizmem. Towarzysze z „Naszej ulicy" przechodzą wprawdzie ciężkie chwile, autor notuje przykłady załamania się, zdrady, chwiejności itd. ale fakty te nie naruszają zasadniczego tonu żarliwej wiary w przyszłość. Petersen rozumie doskonale dialektyczny sens rozwoju wypadków, wyczuwa nastroje robotników, ukazuje, jak spod narzuconej przez terror pozornej obojętności czy „lojalności" przebija raz po raz gorący płomień nienawiści do faszyzmu. Czerwona Wallstrasse, rozbrzmiewająca początkowo potężnym okrzykiem „Rotfront" i śpiewem Międzynarodówki, stanowiąca jedną z ostoi ploletariacko-rewolucyjnego Berlina, przyczaja się potem. Ale w chwili, gdy brunatni szturmowcy przewożą przez nią karawan ze zwłokami bohaterskiego bojownika komunistycznego Ryszarda Hüttiga, „jak na dany znak otwierają się błyskawicznie okna wszystkich domów". Na jezdnię spada bukiet czerwonych kwiatów. „Zginąłeś za nas, towarzyszu Hüttig! Pomścimy cię! — krzyczy z któregoś okna dźwięczny głos kobiecy. Nagle — pisze Petersen — przestajemy się czuć samotni. Nagle wszyscy tworzą jedno ciało; setki głosów krzyczą w wąskiej uliczce: Zemsta! Zemsta! Rotfront!"

Tym mocnym akordem kończy się książka, książka człowieka, który stojąc przez dwa lata na najbardziej eksponowanych odcinkach antyfaszystowskiego frontu, w samym ogniu walki, w kronice nigdzie siebie nie wysuwa na pierwszy plan. Jego książka jedynie w mniej istotnych fragmentach nosi pewne cechy anegdotyczno-pamiętnikarskie, lecz i one zostały umieszczone tylko po to, by uczynić pełniejszym obraz robotniczego Berlina, robotniczej Wallstrasse, która w czasach klęski pozostała niepokonana, w czasach faszyzmu — proletariacka i rewolucyjna.

Po „Naszej ulicy" Petersen przebywając na emigracji we Francji, Szwajcarii i Anglii napisał jeszcze kilka innych książek o komunistycznym ruchu oporu w III Rzeszy. I choć — wymieńmy tytuły — „Gestapowski proces", „Podziemne Niemcy", „Sprawa Baumanna i innych" a wreszcie nowele ze zbioru „A wkoło milczenie" posiadają już bardziej literacki charakter, choć literacka fikcja odgrywa w nich o wiele większą rolę, to jednak i one są prawdziwymi dokumentami bohaterstwa walki i cierpień bojowników o lepsze Niemcy, o sprawiedliwość i socjalizm. Ponieważ zaś ich akcja rozgrywa się również w Berlinie, słusznie się stało, że właśnie miasto Berlin przyznało w roku bieżącym, z końcem sierpnia, swą literacką nagrodę im. Goetnego Janowi Petersenowi. W ten sposób stolica Niemieckiej Republiki Demokratycznej uczciła jednego ze swych najlepszych robotniczych synów, który słowem i czynem walczył o jej nowe, w jasną przyszłość wpatrzone oblicze.

Egon Naganowski

*) Jan Petersen, „Nasza ulica. Kronika pisana w sercu faszystowskich Niemiec 1933/34". Przekład autoryzowany Anny Linke. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949.

JERZY MILLER

OPOWIEŚĆ O POWSTANIU Z NAD RZEKI BUK-HAN

Pismo ledwie sylabizuje.
Nie zna mapy, ani kompasu,
ale las zna i umie
północ wykryć po gałęziach lasu.

Młody — lat siedemnaście.
Na plecach pręgi od batogów.
Tygodniami wędrował przez haszcze
ku północy. Piersi i nogi

poranione o druty kolczaste,
Po raz pierwszy od wielu miesięcy
w niebo spojrzał. Na łańcuch
gór Konguenu rzeką Han rozcięty.

Nie pytano skąd przychodzi.
Widać po nim ile przecierpiał.
Teraz nakarm go i odziej
partyzantko! I do ognia bierwion

wysuszonych dorzuć — wartowniku!
Niechaj ciepło ziąb nocy odgoni,
może zaśnie — swym płaszczem go przykryj —
na dywanie wśród leśnych połonin.

Będzie męczył się we śnie.
Myśli nie odeszły stamtąd.
I tłukące serce
wspomni rzeź w Masan-po,

wioskę w zgliszczach dostrzeże.
— Nie! To jawa! — Sen uciekł.
Wywlekli go z pola żołnierze.
— Biali — pamięta — nieludzie! —

*

Jeszcze godzina do świtu
i wymarsz.
Naucz go wartowniku
karabin nabijać!

Nie zechce jeść przyjaciele!
Inny smakuje mu pokarm.
Pokażcie mu jak się strzela,
jak broń podnosi do oka!

*

Świt przyniósł ulgę — karabin!
Dzień przyniósł ratunek — walkę!
Szli partyzanci — huragan,
drogę zagrodzić tankom.

Do zagród podchodził ogień.
Pod niebo wystrzelał ze stogów.
Ku wioskom toczyły się czołgi
i grzmiały baterie wrogów.

Ktoś upadł. Iść nie przestaną.
Ciżba kul — ołów, stal i ołów
dziesiątkujące, lecz nie zważał na nią:
— Oczy przykuł do czołgu

rozgrzanych gąsienic. — Już gotów!
I zapaloną butelkę
o blachy pancerne potłukł.

W swym rzucie pomieścił nienawiść
i gniewu straszliwą celność.
Nie mógł nie trafić.
— Błysk wybuchu! Ciemność...

*

Zanućcie rannemu,
gdy oczy otworzy przytomnie.
— towarzysze — o nim
partyzanckie pieśni Konguenu.

O przybyszu spod Masan,
który odważnie szedł na czołgi.
I o rzece Buk-han
tęskniącej do Wołgi.

Z ZAGADNIEŃ ESTETYKI

Omawiając numer pierwszy kwartalnika **„Materiały do studiów i dyskusji z zakresu teorii i historii sztuki, krytyki artystycznej oraz metodologii badań nad sztuką"** — podnieśliśmy jego celowość, bogatą treść, jak też ambitne zamiary redakcji. Drugi numer, który ukazał się ostatnio — chociaż zbyt wcześnie jeszcze na sumaryczną ocenę — pozwala stwierdzić jednak, iż pierwszy na pewno nie był tylko efektownym meteorem.

Drugi numer pisma otwiera rozprawa **Juliusza Starzyńskiego** „O naukowo - krytycznej interpretacji dzieła sztuki". Starzyński stwierdziwszy, iż prawidłowe określenie zasad metodologicznych w badaniach nad sztuką, jej historią i teorią, jest zadaniem niezmiernej wagi i pilności — daje przegląd stosowanych dotychczas metod w badaniach nad sztuką przy jednoczesnym porządkowaniu przesłanek naukowej metody sztuki i krytyki sztuki. Omówiwszy krytycznie dorobek burżuazyjnych historyków sztuki z drugiej połowy XIX i początku XX w. autor dochodzi do wniosku, iż jedynie „naukowy światopogląd materializmu dialektycznego i historycznego otwiera pełne możliwości prawidłowego wiązania metody historyczno-opisowej z interpretacją oraz budowania pojęciowych uogólnień w oparciu o naukowo odkryte prawa historycznego rozwoju ludzkości". Rozprawa Starzyńskiego poruszająca nadzwyczaj istotne zagadnienia i dążenia do naukowego ich rozwiązania, niewątpliwie zainteresuje tych wszystkich, którym leży na sercu wypracowanie naukowego aparatu metodologicznego w badaniach nad sztuką.

Tadeusz Juliusz Kroński w dłuższym artykule omawia „Rozkładowe kierunki filozofii i estetyki burżuazyjnej i ich oddziaływanie na gruncie polskim". Trudno wymienić najważniejsze chociażby kwestie poruszane przez Krońskiego. Czytamy o egzystencjaliźmie, o surrealiźmie, o filizofii Bergsona, o „Procesie" Kafki, o Malraux i Jaspersie, o fenomenologii Husserla i neotomiźmie. Sporo miejsca poświęca również autor krytyce tez Ingardena i jego fenomenologicznej estetyce. I tutaj warto podkreślić szczególne zalety pióra Krońskiego (pamiętają je zapewne dawni czytelnicy „Kuźnicy"), który nie tracąc nic ze swej naukowości umie jednocześnie ożywić i uprzystępnić we wywody, dzięki talentowi publicystycznemu wysokiej klasy. Z mętnych i tasiemcowych rozpraw Ingardena naukowiec-marksista nieomylnie wyławia ich jednoznaczny sens ideowy. Czytając artykuł Krońskiego mamy tylko jedną pretensję do autora, tę mianowicie, że tak rzadko daje nam poznać zalety swego pióra.

Praca **Henryka Gotliba** „Potrzeba przemian w malarstwie polskim" stanowi kolejny głos w dyskusji zainaugurowanej w zeszycie poprzednim rozprawą Porębskiego, a zmierzającej do scharakteryzowania i do poddania krytycznej ocenie międzywojennego okresu plastyki polskiej. Gotlib, przed wojną jeden z rzeczników malarstwa formalistycznego, poddaje dziś głębokiej samokrytyce przeszłość. Widać jednocześnie jak wypracowując partyjne stanowisko i przyswajając sobie marksistowsko-leninowską metodę ujmowania zjawisk, autor „koryguje gruntownie swe dotychczasowe osądy i opinie". Tym wszystkim, którzy jawnie lub zza płotu szkalują i wypaczają istotę przemian zachodzących w plastyce polskiej, artykuł Gotliba daje zdecydowaną odprawę: uwypukla bowiem głębokie powody przemian, wykazuje, że każdy prawdziwy artysta wcześniej czy później znajdzie drogę do socjalistycznego realizmu.

Część pierwszą numeru zamyka artykuł **Jerzego Toeplitza** poświęcony „Walce o realizm w sztuce filmowej". W drugiej części „Materiałów", poświęconej przekładom teoretyka **M. Neumana** „W. I. Lenin i zagadnienia sztuki", Neuman jasno i przystępnie referuje poglądy Lenina na najbardziej zasadnicze problemy estetyki. Sprawa partyjności sztuki, leninowska teoria odbicia rzeczywistości w sztuce jako filozoficzna podstawa realizmu, stosunek do kultury przeszłości, ludowość sztuki socjalistycznej — wszystkie te sprawy Neuman wyjaśnia trafnie i głęboko, jakkolwiek i przystępnie zarazem. Zważywszy, iż nie mamy dotąd w Polsce szerszej rozprawy referującej poglądy Lenina na sztukę, pozwolimy sobie zwrócić uwagę „Książki i Wiedzy" na to, iż warto by wydać pracę Neumana w formie broszury. Byłaby ona pożytecznym wprowadzeniem do zbioru artykułów Lenina o literaturze.

Artykuł **A. K. Lebiediewa** „Estetyka marksistowsko - leninowska jako teoretyczna podstawa radzieckiej krytyki artystycznej", stanowi drugą część referatu wygłoszonego w styczniu 1949 r. na III-ej sesji Akademii Sztuk ZSRR. Lebiediew krytykuje obiektywizm kryteriów przy ocenie dzieł sztuki, widoczny u niektórych krytyków radzieckich, rozprawia się z tendencjami formalistycznymi i naturalistycznymi. Nie mogąc z braku miejsca referować szerzej wywodów autora, którego sformułowania dotyczące realizmu socjalistycznego w malarstwie winien poznać każdy interesujący się tymi sprawami — pozwolimy sobie przytoczyć zdanie Lebiediewa określające istotne zadania krytyki: „Dla nas krytyka — powiada autor — to polityka, to forma oddziaływania partyjnego na rozwój artysty, środek wychowania komunistycznego mas, przebudowy świadomości ludzkiej". Warto zapamiętać to zdanie!

O ile otwierający numer artykuł Starzyńskiego był próbą pogłębienia problematyki pisma, o tyle zamykający go artykuł **Paula Reimanna**, stanowiący wyjątek z jego książki „O realistycznym pojmowaniu sztuki", jest próbą rozwoju wszerz — wciąga w orbitę zainteresowań kwartalnika również i sprawy literatury. Chociaż trudno sądzić o całości z jednego tylko rozdziału, stwierdzić trzeba jednak, iż niektóre tezy Reimanna nie wydają się w pełni słuszne i wymagają pewnej korekty, lub może wyjaśnienia tylko. Niemniej jednak sprawy teorii i krytyki literackiej winny uzyskać w dalszych numerach należne im miejsce.

L. B. Grz.

KRONIKA RADZIECKA

NOWE SZTUKI W TEATRACH MOSKIEWSKICH

W obecnym sezonie teatralnym teatry moskiewskie pracują nad szeregiem nowych sztuk radzieckich. Dwie z nich weszły już na scenę. Są to „Pierwsze porywy" w teatrze im. Wachtangowa i „Student 3-go kursu" w teatrze im. Mossowieta.

„Pierwsze porywy" to przeróbka powieści Konstantego Fiedina pod tymże tytułem. Treścią powieści i sztuki są pierwsze radości walki rewolucyjnej w szeregach klasy robotniczej. Głównym bohaterem jest student technikum Kiryłł Izwiekow, który wyrasta na dzielnego bojownika sprawy proletariatu, członka partii.

„Student 3-go kursu" (autorzy: Brozina i Dawidson), to sztuka z życia studentów. Andrzej, były żołnierz, po latach spędzonych na froncie powraca do studiów w Instytucie Energetyki. Postanawia już w trakcie nauki przynieść krajowi realną korzyść swoją pracą i projektuje stację elektryczną o małym zasięgu, w której jako paliwo używać można słomy.

Część kolegów przeciwna jest jego poczynaniom i odrzuca potrzebę projektów na małą skalę, marząc o budowie jedynie gigantycznych elektrowni.

Projekt Andrzeja znajduje jednak konkretne zastosowanie i zostaje przyjęty. Wokół realizacji jego koncentruje się życie grupy komsomolskiej kursu. W pracy rodzi się nowa przyjaźń, nowa miłość. Grupa staje się jeszcze bardziej zwartym kolektywem ludzi, dla których nie ma małych spraw, bo wszystkie służą budowie komunizmu. Po ukończeniu studiów ludzie ci budować będą gigantyczne stacje, fabryki, ośrodki przemysłowe.

Wykonawcami spektaklu są młodzi aktorzy zespołu aktorskiego teatru im. Mossowieta.

W teatrze Armii Czerwonej odbyła się premiera sztuki A. Sztejna „Flaga admirała". Jest to sztuka historyczna z czasów Katarzyny II o admirale Uszakowie, zwycięzcy admirała Nelsona w bitwie pod Korfu. **al**

DRAMATY WALCZĄCE O POKÓJ

Nowy repertuar Moskiewskiego Teatru Dramatycznego wiąże się ściśle z zagadnieniem walki o pokój. Wyrazem tej walki są dwa nowe dramaty wystawione przez ten teatr. Pierwszy to wierszowany utwór sceniczny E. Dołmatowskiego pt. „Pokój", drugi „Walka o pokój" E. Szatrowej i M. Woliny. W obu sztukach dominuje humanistyczne dążenie do utrwalenia pokoju pomiędzy narodami. Program Moskiewskiego Teatru Dramatycznego przewiduje również wystawienie dramatu debiutującego pisarza S. Aleszina pt. „Dyrektor", oraz utworu pt. „Gałązka jabłoni" pióra W. Dobrowolskiego i J. Smolaka, Bohaterem pierwszego utworu jest kierownik jednej z większych fabryk, przyczyniający się swoją pracą do wzmożenia potęgi ZSRR, ostoi pokoju światowego. „Gałązka jabłoni" poświęcona jest powojennej młodzieży studenckiej, która tylko w warunkach pokojowych może korzystać z nauki i dorobku kulturalnego.

NAUKOWY FILM O ARKTYCE

Niedawno wrócili z Arktyki moskiewscy operatorzy filmowego studia „Czerwona Gwiazda", którzy dokonali szeregu bardzo ciekawych zdjęć do naukowo-popularnego filmu o florze i faunie krajów i mórz dalekiej północy. Projektowany film przedstawi w barwach naturalnych dość szczegółowo życie nie tylko zwierząt mieszkających nad brzegami mórz polarnych, lecz także i fauny morskich głębin. Głębinowe epizody zostały sfilmowane przy pomocy specjalnych urządzeń, które pozwalają robić zdjęcia tak na dnie morza, jak i w górnych jego warstwach. Akcja filmu rozgrywa się głównie w okolicach Nowej Ziemi, Murmańska, wyspy Wrangla i w głębinach Morza Białego.

FILM O MIASTACH NADDNIEPRZAŃSKICH

Jednym z ciekawszych filmów dokumentarnych, które weszły na ekrany radzieckie, jest kolorowy film p. t. „Dniepr". Zaznajamia on widza ze starodawnymi miastami trzech republik, przez które przepływa Dniepr. Film ukazuje piękno wielu grodów z ich nowoczesnymi budowlami, wzniesionymi ręką robotnika radzieckiego, na tle ich historycznych zabytków. Szczególnie interesujące są zdjęcia Kijowa, Smoleńska, Nikopola i Dniepropietrowska. Scenariusz, którego autorką jest Wanda Wasilewska, urozmaicony jest opowieścią o żyjących nad Dnieprem rybakach i hodowcach winnej latorośli. Film „Dniepr", wyprodukowany przez moskiewską wytwórnię im. Gorkiego, wyreżyserował W. Pronin.

ZGON I. M. DORONINA

W końcu września zmarł Igor Michajłowicz Doronin, znany aktor teatru im. Wachtangowa. Zgon Doronina nastąpił w chwili największego rozkwitu jego talentu aktorskiego i działalności teatralnej. Doronin zajmował stanowisko wykładowcy w Instytucie Teatrologicznym i reżysera jednego z najlepszych w Moskwie amatorskich kółek dramatycznych przy fabryce „Kauczuk". Poświęcił on wiele lat teatrowi dla dzieci, rozpoczynając na tej ważnej placówce sztuki radzieckiej swą praktykę reżyserską.

PRZYGOTOWANIA DO OBCHODÓW 40-LECIA ŚMIERCI LWA TOŁSTOJA

W związku z 40-leciem śmierci Lwa Tołstoja, które przypada w dniu 20 listopada br., wszystkie kulturalne instytucje Związku Radzieckiego przygotowują imprezy poświęcone życiu i twórczości wielkiego pisarza. W miejscowości Tołstoj będzie urządzona wystawa w domu, w którym zmarł autor „Wojny i pokoju". Muzea Lwa Tołstoja w Moskwie i Jasnej Polanie odnawiają i dopełniają swoje eksponaty. Wkrótce zostanie wydany zbiór artykułów i studiów o Tołstoju, jako też pierwszy tom monograficznej pracy o autorze „Wojny i pokoju" pióra N. Gusiewa. Dzieło to obejmie okres od 1828 do 1855 r. Poza zaprojektowanymi w całym kraju wieczorami i akademiami teatry uzupełnią swój repertuar utworami dramatycznymi i nowymi inscenizacjami powieści Lwa Tołstoja.

TEATR NA KOŁACH

W początkach października br. rozpoczął swój 20-ty sezon Centralny Teatr Kolejowy. Charakterystyczną cechą tego teatru jest bezpośredni kontakt z widzem. Teatr rozjeżdża po Związku Radzieckim i daje przedstawienia dla pracowników kolejowych nie tylko w salach teatralnych, pałacach kultury i klubach, lecz także w większych fabrykach, parowozowniach, a nawet na stacjach pod odkrytym niebem. Tam gdzie brak sceny, dobrze zgrany zespół urządza widowiska na platformach wagonów, aut ciężarowych i na prowizorycznych estradach. W repertuarze teatru przeważają utwory poświęcone życiu i działalności pracowników kolejowych. Nie brak także sztuk, które wchodzą w repertuar teatrów stołecznych. Teatr cieszy się dużym powodzeniem i popularnością.

WYSTAWA MALARSKA W. BYCZKOWA I E. KAMZOŁKINA W MOSKWIE

Związek Malarzy ZSRR zorganizował ostatnio w Moskwie wystawę dwóch znakomitych, acz dotychczas mało popularnych pejzażystów W. Byczkowa i E. Kamzołkina. Wystawa pokazuje przeszło 150 obrazów Byczkowa, obejmujących okres twórczy od 1900 r. do czasów dzisiejszych i znaczną ilość pejzaży Kamzołkina oddających piękno rosyjskiego krajobrazu. Początkowy okres twórczości Byczkowa bogaty jest w pejzaże i sceny z życia chłopów nadwołżańskich („Cerkiew w Czeboksarach" 1911 r., „Czuwasi na rynku w Czeboksarach" 1914 r., „Chłopi na przyzbie" 1916 r.). W okresie porewolucyjnym wzbogacają się wątki tematyczne malarstwa Byczkowa, który poczyna interesować się wszystkimi dziedzinami życia radzieckiego („Demonstracja 1 Maja w Moskwie" 1920 r., „Budownictwo w Moskwie" 1934 r., „Pejzaż przemysłowy" 1936 roku). W ostatnich latach dominują w twórczości Byczkowa motywy pejzażu północnej Syberii, skąd przywiózł wiele ciekawych obrazów.

E. Metal

SZLAKIEM PIĘCIOLATKI

(Dokończenie ze str. 5)

podwyższenia produkcji przez podciąganie słabszych do poziomu przodowników, o której w jednym ze szkiców pisze M. Szaginian.

Zamykający książkę cykl nosi tytuł „Nauka i pięciolatka". W książce o wielkim planie gospodarczym nie mogło takiego rozdziału zbraknąć, bo w dobie planowania gospodarczego rola nauki niezwykle wzrasta. Ale nie tylko nauka służy planowi. Także plan nauce. Albowiem czynne jej zaangażowanie w realizacji konkretnych zadań współczesności nadaje jej owe humanistyczne piętno, które od dawna już zatraciła nauka burżuazyjna, głosząca oficjalnie teorię oderwania się od praktycznego życia społeczeństwa. W rzeczywistości zaś „nauka czysta" jest fikcją, pozostającą — mimo indywidualnych złudzeń niektórych swych twórców — na usługach starego ustroju. Jeżeli nie przyznaje się otwarcie do swej bazy społecznej, znaczy to tylko, że kapitalizm stracił już siłę atrakcyjną jako ustrój nie sprzyjający więcej ludzkiemu powołaniu nauki. Nauka radziecka nie ma się czego wstydzić swej służby społecznej, ponieważ stanowi potężne narzędzie w rękach tych, którzy budują lepsze jutro świata. Jedność teorii i praktyki w warunkach socjalizmu nie ogranicza i nie kompromituje pierwszej, ani nie pozostaje w sprzeczności z drugą. Jedność teorii i praktyki stanowi o sile, skuteczności, ludzkiej doniosłości postępowej nauki. I taka nauka stwarza piękny typ naukowca-działacza o szerokim, obcym rutyniarskiemu zasklepieniu horyzoncie humanistycznym, typ naukowca, o jakim tak sugestywnie pisze M. Szaginian w „Trzech portretach".

3.

Tom „Szlakiem pięciolatki", traktujący zasadniczo o węzłowych zagadnieniach nowego planu gospodarczego, jest — dzięki epickiemu niemal zakrojowi obrazów i szerokiej perspektywie historycznej wniosków — czymś w rodzaju małej encyklopedii rzeczywistości radzieckiej. Oddaje jednak nie tylko jej aspekt statystyczny, obraz rzeczowy. Oddaje także tę jej szczególną atmosferę, którą dałoby się jedynie porównać do atmosfery wielkiej budowy z jej gwarem, dynamiką, ruchliwą zmiennością perspektyw.

I kiedy czytamy książkę M. Szaginian, oddychamy jak gdyby ostrym powietrzem przyszłości; rozumiemy, że jesteśmy świadkami trudnych i radosnych narodzin — narodzin nowej epoki.

Dla nas, którzy stoimy w obliczu Planu Sześcioletniego, książka, relacjonująca wielkie doświadczenie pięciolatek stalinowskich na materiale konkretnych reporterskich obserwacji, ma znaczenie szczególnie doniosłe. Jest pozycją żywą i na czasie.

I jeszcze jedno. Kiedy zamykamy ostatnią stronę tej książki, doznajemy uczucia wielkiego spokoju. W okresie, gdy na zachodzie histeria wojenna osiąga swój punkt szczytowy, a akcjonariusze monopoli zbrojeniowych kalkulują zyski, jakie mogą osiągnąć z nowej rzezi światowej, w Związku Rad wre codzienna, pokojowa praca, której rytmu nie zagłuszą groźby amerykańskich kongresmanów i wycia agitatorów trzeciej wojny. Ta zimna krew jest dowodem rzeczywistej mocy, siły moralnej, poczucia słuszności sprawy. I w tym leży gwarancja pokoju.

Tadeusz Kruk.

WŚRÓD KSIĄŻEK

MATEMATYKA NA WESOŁO

O dobrą książkę, popularyzującą wiedzę, nie jest bynajmniej łatwo. Niewielu autorów zdoła napisać rzecz zrozumiałą — ale też i interesującą — wszystkich czytelników. Wszystkich: a więc zarówno tych, którzy przystępują do czytania z minimalnym zasobem elementarnych wiadomości, jak tych, którzy rozporządzają gruntowną znajomością opracowanej przez autora tematyki. To nie sztuka bowiem dać prolegomena określonej gałęzi nauki, wulgaryzując ją i zubożając aż do prostactwa. A z takimi opracowaniami spotkać się można aż nazbyt często.

Sztuką natomiast jest napisać książkę, cechującą się oryginalnością ujęcia, zaciekawiającą czytelnika od samego początku, prowadzącą go umiejętnie poprzez trudności których nie omija i nie pozostawia bez wyjaśnień, gromadzącą celowo dobrane przykłady i trafne porównania. Taka dopiero książka spełnia zadania, jakie stawiać należy literaturze popularno-naukowej. Musi ona nie tylko rozszerzać horyzonty wiedzy czytelnika na drodze samokształceniowej, lecz również zachęcać go do pogłębiania posiadanej już lub zdobywanej dopiero wiedzy.

Polska literatura nie jest bynajmniej uboga w dziedzinie „naukopisarstwa", że — użyję określenia niezapomnianego, tragicznie zmarłego polskiego naukopisarza, Brunona Winawera. Pisanie o nauce w sposób jasny i prosty, służba informacyjna o zdobyczach wiedzy ludzkiej, popularyzowanie postępów nauki i przemysłu; oto zadania naukopisarstwa.

Z polskich starszych pisarzy na pierwszy plan wysuwa się zapomniany dziś i niewznawiany dotychczas Erazm Majewski, autor doskonałych powieści naukowych, jak „Doktór Muchołapski" i „Profesor Przedpotopowicz". W okresie międzywojennym Bruno Winawer, autor tęgich felietonów naukowych zajmujących się przede wszystkim problematyką fizyczną, zapisał trwałą pozycję zarówno w polskiej dramaturgii jak na polu naukopisarstwa. Po wojnie Stanisław Ziemecki dał doskonale napisane podstawowe wiadomości z fizyki, uwzględniając najnowsze kierunki jej rozwoju. Autorów polskich można by wymienić i więcej. Zajmowali się jednak oni niemal jedynie zagadnieniami przyrodniczymi, pozostawiając nietknięte pole matematyki. Jest to zjawisko tym osobliwsze, że w światowych kronikach matematycznych Polacy bogato wypełnili niejedną stronicę.

Jako szczególną więc zasługę należy zanotować podjęcie przez inż. Józefa Hurwica inicjatywy i niemałego trudu przyswojenia językowi polskiemu doskonałej

książki naukopisarza radzieckiego Jakuba Perelmana pt. „Matematyka na wesoło" (Wyd. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950, format B5, 159 s., 146 rys.).

Książka ta zawiera 130 zadań, opowiadań i anegdot ze wszystkich dziedzin matematyki elementarnej. Do zrozumienia, rozwiązania i zasmakowania w temacie nie potrzeba więcej, niż dwóch elementów: znajomości podstawowych zasad arytmetyki, algebry i geometrii — w zakresie szkoły podstawowej — oraz pewnej dozy zdrowego rozsądku. Czytelnikowi rozporządzającemu tymi warunkami książka zapewni niebanalną rozrywkę, obdarzy nowymi rozkoszami, pobudzi zamiłowanie do nauk kwalifikowanych zazwyczaj jako suche lub nudne — przekonywując, że są one właśnie i żywe i porywające i pożyteczne w codziennym życiu; zaprawi wreszcie do myślenia ścisłymi kategoriami.

Działanie „Matematyki na wesoło" mieliśmy okazję wypróbować w terenie, w pewnym domu wczasowym nad morzem. Wczasowiczami byli niemal sami robotnicy i górnicy oraz ich rodziny. Któregoś dnia zaczęliśmy razem rozwiązywać łamigłówki z książki: o wiewiórce okrążającej pień drzewa, o samolocie lecącym po 500 km kolejno w kierunku północnym, wschodnim, południowym i zachodnim (pytanie — gdzie wyląduje?), o tajnej siatce szyfrowej, o szachownicy, na której polach układa się ziarna pszenicy (w postępie geometrycznym) i inne.

Z jakim rezultatem? Nie tylko powszechnego zaciekawienia i współzawodnictwa w rozwiązywaniu zadań, lecz również stawianego z niepokojem przez wszystkich ważnego pytania: „Czy aby książka nie jest wyczerpana, bo chcę ją mieć dla siebie, aby często do niej zaglądać i bawić się nią z moimi."

Do wielkiego powodzenia „Matematyki na wesoło", w zdobyciu czytelnika wstępnym bojem — przyczynił się nie tylko autor, lecz również tłumacz i ilustrator. Tłumaczenie Inż. J. Hurwica jest wzorowe. Książka sprawia wrażenie, jak gdyby nie była zgoła przekładem, lecz pracą pisaną od razu po polsku. Duch języka polskiego przenika wszystkie stronice, żadnych zaś przeciw niemu grzechów znaleźć niepodobna. Ilustracje M. Walentynowicza spełniają całkowicie zadanie dodatkowego ożywienia tekstu: dowcipne, lekkie i pomysłowe — działają na wyobraźnię i dopomagają śledzeniu tekstu. Korekta — staranna, co przy dużej ilości cyfr szczególnie podwyższa wartość książki.

Inż. Tadeusz Zamoyski

MORALNOŚĆ MA DWA OBLICZA

Nowa książka Travena pt. „Jarmark Św. Caralampio", wydana przez „Książkę i Wiedzę", stanowi uzupełnienie poprzedniej, znanej pod tytułem „W jarzmie" (patrz — niżej podpisany: „Lekcja wyzysku" — Kuźnica nr 3 1950 r.).

Traven omawia w niej zagadnienie stosunku religii do moralności, poddając go klasowej interpretacji polegającej na konfrontacji dwóch skrajnych stanowisk: burżuazyjnego i proletariackiego.

Traven pokazuje jak dawni konkwistadorzy hiszpańscy XVI wieku, którzy żelazem i ogniem spustoszyli kraj, odrodzili się w postaciach współczesnych inkwizytorów kościelnych sprzymierzonych klasowym i materialnym interesem z burżuazją i wyciskających z ludu meksykańskiego ostatni grosz. Ten klasowy charakter instytucji Kościoła można odczytać z analizy stosunku ludu meksykańskiego do tej instytucji, stosunku, który niczym się nie różni od stosunku między właścicielem karawany handlowej i jej przewoźnikiem, oraz z opisu odpustu ku czci Św. Caralampio, w Balun Canan.

Uroczystości te dla miejscowych „duszpasterzy" nie są niczym innym, jak doskonałą okazją do robienia kokosowych interesów. Kościół zamienia się wtedy w bardzo konkretne przedsiębiorstwo dochodowe, w postaci jarmacznych bud z dewocjonaliami zainstalowanymi w świątyni, czy też w postaci obowiązującego podatku od całowania figury świętego.

Kościół mimo swojej rzekomo uniwersalistycznej roli, nie jest w stanie zneutralizować sprzeczności klasowych, ponieważ sam jest ich źródłem; obraz układu klasowego znajduje swój wyraz nawet w podziale miejsc w balun-canańskiej świątyni: dla „elity" są tu wygodne ławki w pierwszym rzędzie, zaś dla Indian miejsca stojące i to w przedsionku. Trudno o lepsze sformułowanie hierarchii wartości społecznej „wiernych", której podstawę stanowią różnice materialne. Oto przykład w jaki sposób religia staje się kategorią materialną.

Pisarz ze zjadliwą ironią pokazuje jak święto kościelne zamienia się w bachanaliadę, jak w zapleśniałym środowisku drobnomieszczańskim znika natychmiast pruderia, gdy tylko alkohol zamroczy nieco umysły, a pojawia się rozluźnienie wszelkich norm moralnych. Chyba nikt lepiej nie potrafi wymieniać moralności na brzęczącą monetę niż purytański właściciel traktierni, czy „cnotliwa" prostytutka, która szuka sobie strzeczyciela w osobie świętego patrona ofiarowując mu najdroższą świecę na ołtarz. Do tej samej kategorii osób należą żony „patronów", które dla interesu życiowego wychodzą za mąż i miejscowy lekarz, erotoman, który nabywając siłę roboczą małej Indianki Rosario uważa, że tym samym nabywa prawa do jej ciała.

Pieniądz burzy wszelkie wartości, chociażby były one uświęcone najbardziej wszechmocnym autorytetem kościelnym. Przypominamy sobie jak to niedawno w parlamencie włoskim „chrześcijański" rząd de Gasperiego, kategorycznie przeciwstawiał się wnioskowi deputowanych komunistycznych o zamknięciu wszystkich domów publicznych.

„Burżuazja zdarła ze stosunków rodzinnych ich rzewnie sentymentalną zasłonę i sprowadziła je do nagiego stosunku pieniężnego" — pisał Marks w „Manifeście".

Życiu burżuazji przeciwstawić chciał Traven postawę moralną proletariatu meksykańskiego. Jednak o ile jako krytyk jest on niezrównany, o tyle, w trakcie konstruowania pozytywnego programu moralnego dokonuje nieświadomie poważnego przesunięcia kompozycyjnego wśród przedstawianych postaci, co z kolei siłą rzeczy powodować musi zmianę ideologicznej funkcji samego problemu. Słuszność tej tezy jest tym silniejsza, im więcej wagi przykładamy do stanowiska które mówi, że postać głównego bohatera jest postacią reprezentatywną w przedstawieniu przez autora jego programu ideologicznego.

Zmiana dokonuje się w tym sensie, że o ile dotychczas credo społeczne pisarza krążyło wokół osoby Andreu — czołowej postaci utworu, o tyle w pierwszym moralno-miłosnym konflikcie Andreu z małą Estrellitą, jego credo moralne przesuwa się na osobę jednego ze współtowarzyszy Andreu, carreteros Manuela i jego dziewczyny Rosario. Od tej pory ta właśnie grupa postaci realizuje reprezentatywny typ proletariackiego — o naturalnej prostocie — stosunku do kobiety, w przeciwieństwie do pełnego hipokryzji i pruderii typu burżuazyjnego, oraz w łagodniejszym przeciwieństwie do naiwno-sentymentalistycznego i mistycznego stosunku Andreu do Estrellity. Niewątpliwie to przesunięcie obniża ideologiczną siłę postulowanej przez autora moralności robotniczej. Niemniej na tym tle zaobserwować można ciekawy fakt zderzenia się stosunków niewolniczych i feudalnych z kapitalistycznymi w dziedzinie etycznej. Przeciwstawność ta uosobiona jest z jednej strony w postaci Estrellity, córki chłopskiego niewolnika-peona, która odziedziczyła po swych rodzicach kompleks absolutnej uległości wobec przemocy, z drugiej zaś w postaci zdeklasowanego syna chłopskiego, który przeszedłszy do proletariatu siłą rzeczy zmuszony jest w pewnej mierze dostosować się do tego typu wyobrażeń moralnych, jakie są charakterystyczne dla burżuazji. Estrellita jest wierną niewolnicą, która ślepo słucha rozkazów swego „pana", w osobie głównego powiernika karawany handlowej Andreu. Przyjąwszy takie konsekwencje Traven nie potrafi się wyzwolić i spod innych schematów kompozycyjnych, które naturalną rzeczy koleją zubożają środki artystycznego odtwarzania przedstawianej rzeczywistości.

Pomimo tych mankamentów książka w części spełnia swą rolę, daje nam możliwie pełny i syntetyczny skrót kapitalistycznego systemu krzywdy społecznej i uczy dostrzegać go w jego przejawach. Napisana jest stylem ciętym i dowcipnym, a nawet złośliwym, przechodzącym miejscami w zjadliwą ironię.

Ryszard Hładko

„CHINY" JENSENA

Obszerna książka Jensena p. t. „Chiny zwyciężają" *)... wyróżnia się dodatnio swą rzeczowością i wszechstronnością spośród licznych ostatnio publikacji tego rodzaju. Zalety książki Jensena związane są z osobą autora: Jensen — to nie pierwszy lepszy dziennikarz czy globetrotter, który pisze o Chinach „zarobkowo" czy też z nudów, — Jensen, z pochodzenia Austriak, z zawodu lekarz, uczestnik wojny hiszpańskiej, którą odbył w Brygadach Międzynarodowych, jest marksistą, internacjonalistą i obserwatorem bardzo inteligentnym, o wyraźnej postawie ideowej, ułatwiającej mu właściwą ocenę ludzi, faktów i wydarzeń. Po kampanii antyfrankistowskiej, Jensen znalazł się w Chinach i przebył tu dziesięć lat, aż do końca r. 1948. Poznał w tym czasie dokładnie przegniłe, rozkładające się Chiny kuomintangowskie — i prężne, dynamiczne, rewolucyjne Chiny Ludowe; stykał się i obcował z ludźmi różnych poglądów i kondycyj społecznych; przyglądał się nie tylko falującej powierzchni zjawisk lecz badał też pilnie ich głębokie, ukryte źródła i nurty, ich wzajemne zależności i powiązania.

Taki stosunek do rozległej i skomplikowanej problematyki Rewolucji Chińskiej dał w efekcie pisarskim książkę rzetelną i cenną, opartą na obfitym materiale autentycznym i co do treści — niemal encyklopedyczną. Znajdziemy tu żywo podane informacje historyczne, ustrojowo-społeczne, gospodarcze, obyczajowe i inne; znajdziemy ciekawą charakterystykę Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i omówienie roli i znaczenia Chińskiej Partii Komunistycznej, jako przodującej i kierowniczej siły w walce o wolność narodu; znajdziemy sylwety komunistycznych przywódców chińskich mas ludowych, cytaty z przemówień Mao Tse-tunga, materiały publicystyczne — i wiele innych, starannie zebranych i uporządkowanych danych o sprawach Chin dzisiejszych i wczorajszych.

Osobny rozdział poświęca Jensen zagadnieniu polityki amerykańskiej na Dalekim Wschodzie (Chiny, Japonia, Korea), przeciwstawiając tę imperialistyczną i drapieżną politykę „kolonizatorów" — pokojowej i bezinteresownej polityce Związku Radzieckiego, stojącego na straży wolności i suwerenności zarówno wielkich, jak małych narodów. Wyzwolony z imperialistycznego jarzma, 475-miolionowy naród chiński wie dziś doskonale — podobnie jak inne miłujące pokój narody — gdzie szukać ma przyjaciół i z której strony strzec się przed wrogami. Nie pomogły waszyngtońskim politykom miliardy, wyrzucone na „pomoc" dla Czang-Kai-Szeka, dla ratowania tej ohydnej kliki złodziei i morderców; nie zawrócą też narodu chińskiego z nowej drogi wolności i postępu ani manewry amerykańskich interwentów na Formozie, ani ich podłe i zbrodnicze prowokacje militarne.

Kończąc tę notatkę sprawozdawczą o książce Jensena, przytoczę za nim jeden cytat z przemówienia Mao Tse-tunga, dotyczący kwestii (polityczności) sztuki rewolucyjnej. Sądzę, że nie tylko w Chinach, lecz i w każdym innym, budującym socjalizm, kraju, ten cytat z r. 1942 jest w swej treści cenny i aktualny. „W naszych działach sztuki — mówił wódz ludu chińskiego — linia polityki musi pokrywać się z linią artystyczną. Treść rewolucyjno-polityczna musi się kojarzyć z najwyższym poziomem stylu artystycznego. Dzieła bez wartości artystycznej są bezwartościowe, choćby ich treść odpowiadała linii postępowo politycznej. Równie silnie potępiamy mierność artystyczną w utworach postępowych, jak reakcyjną treść dzieł burżuazyjnych, stojących na wysokim poziomie artystycznym".

Słowa Mao Tse-tunga lapidarnie formułują to, co staje się powoli rezultatem dyskusji literacko-artystycznych w Polsce, w latach ostatnich. Od Chińczyków nauczyć się można niejednego. Stwierdza to wyraźnie Jensen, pisząc w rozdziale wstępnym: „Mimo mego marksistowskiego przeszkolenia... pozostawałem jeszcze wciąż pod wpływem pewnych przesądów „kulturalnego Europejczyka". Sądziłem, że przybywałem do Chin jako nauczyciel i doradca, i że wiem, skąd i dokąd dążę. Stopniowo jednak, pracując usilnie nad sobą, zmieniałem się z „doradcy" w ucznia. Zostałem nim szereg lat, zanim mogłem stać się użyteczny — i to w skromnym zakresie".

Bolesław Dudziński

*) **Fryderyk Jensen. Chiny zwyciężają:** Fritz Jensen. China negt... Przekład Wiktora Kochańskiego. Okładkę projektował Jerzy Cherka. — Warszawa, „Książka i Wiedza", 1950 — str. 323 i 3 nl. i tabl. 1.

KORESPONDENCJA

NA TEMAT ADACHOWEJ BIEDY

Niech mi wolno będzie wypowiedzieć kilka uwag na temat zagadnień poruszanych w pracy Józefa Kuśmierka „Sprawa Adachowej biedy“ (Nr 24 „Nowej Kultury“).

Nie roszczę sobie pretensji do nazywania się krytykiem literackim, czy innym znawcą problemów współczesnej twórczości, ale jako aktywista Związku Młodzieży Polskiej, jestem jednym z tych, co mają prawo żądać od pisarzy nie tylko zdecydowanej postawy w stosunku do zachodzących wydarzeń, ale także (i to jest ważniejsze) współtworzenia nowego w naszym życiu. Sprawa Adachowej biedy jest mi bliską choćby dlatego, że w pracy swej zetknąłem się niejednokrotnie z podobnymi przejawami ostrej walki klasowej na wsi.

Czytając tę historię nędznej wegetacji życiowej jednej z tysiąca polskich rodzin wieśniaczych, śledząc przebieg zmagań słabej kobiety z bezsilnymi formami wyzysku, jakie jeszcze mają prawo obywatelstwa na naszej rozdrobnionej gospodarczo wsi, nie mogłem oprzeć się ostatecznemu wrażeniu: Kuśmierek należy do tych pisarzy, którym nic nie potrafi przesłonić sprawy człowieka. Bo chyba nie każdy poza urzędową decyzją Powiatowej Rady Narodowej w Miliczu odebrania Adachowej 4,5 hektarowego gospodarstwa dojrzałby całą brutalną prawdę życia tej kobiety-ofiary klasowego ustroju Brzeziny.

Tu nie wystarczyłoby obiektywne spojrzenie, tu potrzebna była jedynie słuszna i głęboko ludzka metoda dialektyki marksistowskiej. Jeżeli się mówi o partyjności literatury to praca Kuśmierka może być jej najlepszym przykładem. Mimo, że tak dużo dyskutuje się na temat realizmu socjalistycznego, to jednak niewielu pisarzy mogłoby poszczycić się podobnymi do Kuśmierka pracami.

My młodzież ZMP-owska odrzucając do lamusa sensacyjną literaturę Marczyńskich i Romańskich, czekamy na takie właśnie utwory.

Tadeusz Kołodziejczyk
Państwowa Wyższa Szkoła Pedag. Gdańsk.

JAKIE ODNIOSŁEM WRAŻENIE I JAKIE NASUNĘŁY MI SIĘ WNIOSKI PO PRZECZYTANIU 2-CH OSTATNICH NUMERÓW „NOWEJ KULTURY“

Trzydzieści siedem lat, jako syn biednej wdowy żyję — na wsi i: patrzę, czuję, walczę z ciemnotą, zacofaniem, o równość i sprawiedliwość społeczną; o godność człowieka-biedaka, równą innym i o lepszą przyszłość. Jakkolwiek przyznam się owoc tej walki jest jeszcze znikomy, to jednak, w stosunku do siebie, nad sobą odniosłem pewne zwycięstwo: — nabrałem wiary w siebie; doszedłem do przekonania, że mam prawo garnąć się do oświaty, być działaczem, a co więcej — zostać pisarzem ludowym oraz że oświata i kultura jest rękojmią sprawiedliwych stosunków i poprawy bytu na wsi. Być może iż niejeden przeczytawszy to, powie, że „oświatę od dawna uznano za najlepszą broń w walce o lepszą przyszłość. (Nie wszyscy jednak o tym wiedzą, to rozumieją, a zwłaszcza ci, co — „pracują rękami“ — koniecznie winni o tym wiedzieć i, garnąć się do oświaty, mając ku temu obecnie taką szeroką możliwość, w naszym Państwie Ludowym.)

Dla mnie natomiast, com od najmłodszych lat ciężkiego doświadczał życia, na służbach u bogaczy, jako pastuch, parobek; w nauce ciężkiego zawodu kowalskiego, później jako bezrobotny; com nieomal codziennie słyszał od matki, gdym zabierał się do czytania lub pisania — „Już znowu czytasz... piszesz... I cóż z tego będziesz miał?... W głowie ci się pomiesza... to nie dla ciebie... do tego są inni — lepsi“; dla mnie jest to wielkim odkryciem, jest światłem w mrokach, które pragnęłoby się przelać na wszystkich takich jak ja — biedniaków nie rozumiejących jeszcze tego.

Odkrycie to ma tym większe znaczenie, gdyż do tego doszedłem sam, dzięki książce, samokształceniu — przez oświatę do oświaty, żem tego na sobie doświadczył. Były pastuch, parobek, dziś jestem bibliotekarzem gminnym, korespondentem prasowym, sekretarzem Gminnej Komisji Oświatowej itd. Co prawda niełatwo było mi dojść do tego wszystkiego, takiego poziomu i takiego awansu społecznego. Nie mówiąc już o trudnościach od zewnątrz, ze strony obojętnego i nieżyczliwego otoczenia, traktującego mnie jako „nieroba“, pragnącego lekko żyć, sam w sobie łamałem się, walczyłem... I przyznam się, że jeszcze dzisiaj, mimo wszystko napadają mnie takie myśli. — Czy ja naprawdę mam prawo być bibliotekarzem, korespondentem? Mam prawo marzyć o zostaniu pisarzem ludowym?...

Rzecz jasna, że takie myśli odpędzam od siebie, lecz bądź co bądź jakiś osad pozostaje mi po nich na dnie duszy, który potem studzi mój zapał i niejednokrotnie krzyżuje całe plany.

W pokonywaniu takich słabości pomagają mi czasopisma młodzieżowe oraz społeczno-literackie, które od czasu do czasu kupuję. To prawda, że był czas, w którym niewiele rozumiałem w tych czasopismach (naturalnie z góry wykreślając przedwojenne (zdaje się) „Wiadomości Literackie“, w których wszystko wydało mi się jakby ustawione do góry nogami) i często pytałem: „dla kogo one są pisane? Kto to rozumie? Jaki to ma związek z otaczającą nas nową rzeczywistością, odbudową — rozbudową, z masami pracującymi?...“

Przyznam się, że i podobne wrażenie odniosłem przejrzawszy pierwszy numer „Nowej Kultury“. Potem, przez całe lato nie zwracałem już uwagi na „Nową Kulturę“, aż dopiero przed dwoma tygodniami jadąc do Poznania z wycieczką, kupiłem sobie to czasopismo. Przejrzawszy je odniosłem o wiele korzystniejsze wrażenie niż przy pierwszym numerze.

Zauważyłem, że większość zamieszczonych teraz artykułów, to nie „suche“ sprawozdawcze, naukowe artykuły, ale jest w nich (co mnie najwięcej interesuje) głęboka troska o nową kulturę i sztukę — odbicie nowej rzeczywistości; o łączność twórczą jakiejkolwiek sztuki z masami robotniczo-chłopskimi, „bo tylko masy ludowe są ożywczym źródłem, wiecznie bijącym twórczością“, oraz szczera troska o nowe kadry literackie i inne. Nie myślę tu wymieniać przeczytanych w wspomnianym, 26 a ostatnio w 28 numerze „Nowej Kultury“ artykułów. Dość, że powiem, iż to w nich wyczytałem, tak je zrozumiałem.

Cała rzecz obecnie polegałaby na tym, by te piękne myśli, hasła, projekty wprowadzone były w czyn. Tu mi się zdaje, że i „Nowa Kultura“ mogłaby w tym dużo pomóc, a zwłaszcza w dziedzinie przygotowania nowych kadr literackich, przez wprowadzenie (możliwie stałej) rubryki listów i odpowiedzi — porad dla młodych adeptów literackich; rozpisanie ankiety na temat utworów literackich (jakie winny mieć tło, jakie zawierać elementy, treść itp.), na temat swej pracy, trudności jakie napotykają, wzgl. na inne tematy z zagadnień kulturalno-oświatowych. Poza tym można by polecić im przeprowadzenie recenzji niektórych książek oraz organizować konkursy (bez nagród, bo dla młodego literata — robotnika czy chłopa, najlepszą nagrodą będzie to, że jego praca będzie drukowana, że ktoś nim się zajął, że zbliża się do swego upragnionego celu — z prostego człowieka staje się twórcą: poetą, pisarzem), w których ocenione uprzednio przez Redakcję, czy jury prace, w toku zamieszczania ich na łamach „Nowej Kultury“, oceniane były przez samych piszących nawzajem, wzgl. też przez czytelników.

Wszystko to na pewno przyczyniłoby się do wyszukania, wyłowienia młodych talentów spośród mas robotniczo-chłopskich a tym samym powiększenia kadr literackich tak potrzebnych do wykonania planu 6-letniego, tak w dziedzinie gospodarczej jak w kulturalnej.

A. Kowol-Marcinek.

W związku z wysuniętymi przez ob. Marcinka propozycjami dla redakcji „Nowej Kultury“, wyjaśniamy, że stanowisko redakcyjne w stosunku do nich sprecyzujemy wkrótce w artykule, w którym podsumujemy wyniki toczącej się ostatnio na łamach naszego pisma dyskusji na temat konkursów literackich oraz opieki i poradnictwa nad młodymi kadrami literackimi

REDAKCJA

SPRAWA WYRODKA — JEDYNEGO W POLSCE RZEŹBIARZA W SOLI

Jedną z atrakcji turystycznych w skali światowej są rzeźby w soli znajdujące się w salinach wielickich, dzieło samouków-rzeźbiarzy, braci Markowskich, już nieżyjących i częściowo wykształconego rzeźbiarza, górnika Wyrodka. Ten ostatni jest w tej chwili jedynym reprezentantem w tej dziedzinie.

Jest rzeczą bezsporną, że to talent wysokiej klasy. Chyba najlepszym tego dowodem jest fakt, że interesowano się nim przed wojną. Rzadkie to wówczas były wypadki popierania artystów pochodzących z warstw ludowych. Trzeba było nie byle czym się wykazać. Wyrodek uczęszczał do 5-cioletniej Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych w Krakowie i ukończył ją w r. 1935. Ale na tym musiał poprzestać. Nie mógł już pójść do Akademii Sztuk Pięknych, gdyż stypendium było zbyt niskie a kłopoty rodzinne zbyt wielkie. Wraca do pracy na dawne miejsce. W ten sposób podcięto mu skrzydła. Chłop nie mógł zbyt wysoko latać.

Szybko pogodził się ze swoim losem, zwłaszcza że pracy było dużo. Ambicją jego było pójść w ślady wielkich braci Markowskich i dokończyć ich dzieło w salinach wielickich. Poza pracami rzeźbiarskimi wykuwanymi w skale solnej tworzył rzeźby na powierzchni na zamówienie dyrekcji.

Gorzej, że po wojnie kierownictwo kopalni nie wykazało dla prac Wyrodka należytego zrozumienia. Całą energię musiał obracać na walkę o wyższą grupę płacy, o premie. Sprzykrzyło się to widocznie dyrekcji Żupy Solnej. Zwolniła Wyrodka pewnego pięknego dnia nie troszcząc się wiele o to, co się z nim dalej stanie.

Wyrodek zna jednak swą wartość. Udał się o pomoc do prasy. Wzięto go w obronę. Ale biurokracja ma swoje wypróbowane metody. Przed prasą ukorzyła się, przyobiecała to i tamto, by zyskać na czasie, zatuszować wszystko. Biurokracja spekuluje w takich razach na słabej i zawodnej pamięci ludzkiej. Liczyła także na znużenie Wyrodka. Przypomnienie sprawy Wyrodka dało swoje wyniki. Przyszło niespodziewane uznanie, wytrącając na moment biurokracji broń z ręki.

Wyrodek kuje w soli piękną rzeźbę górnika, którą wysłano na urodziny Stalina do Moskwy. Zdawało się, że teraz się zmieni nastawienie do Wyrodka na terenie Salin Wielickich. Po pięknych i gładkich słówkach znowu jednak zabrano się do Wyrodka. Teraz jeszcze ostrzej. W ogóle odmówiono mu etatu, a premie to tylko łudzenie Wyrodka. Otoczono się paragrafami, schowano za wygodne przepisy. Rzeźbiarz walczy od dłuższego czasu o skromne możliwości utrzymania. Ciężkie warunki domowe, śmierć pierwszej żony, choroba drugiej i jednego z dzieci, niemożność kształcenia utalentowanych dzieci, wszystko to przytłacza Wyrodka. Do tego wytworzono wokół niego atmosferę niechęci, nieżyczliwości i zazdrości.

Władze przełożone zgadzają się, że Wyrodek jest „rzeźbiarzem wysokiej klasy, jedynym rzeźbiarzem w soli“. Twierdzą, że postępując w ten sposób z Wyrodkiem mają swoje ukryte i dalekosiężne cele. Mianowicie chcą go — „otrząsnąć z letargu twórczego, by wzbogacił Państwo Polskie o kilka lub kilkanaście dzieł sztuki wykutych w soli“. Brzmi to troszkę dziwnie. Zachodzi obawa, że za pięknymi słówkami kryje się ciężki biurokratyzm. Władze z Wieliczki postawiły Wyrodkowi następujące warunki, bez których spełnienia nie wyobrażają sobie dalszej z nim współpracy:

1. rzeźby dla osób trzecich nie mogą być wykonywane bez zgody Żupy,
2. co tydzień będzie przedkładał pisemne sprawozdanie ze swych bieżących prac,
3. douczy dwu praktykantów,
4. po ukończeniu zaprojektowanych prac w kaplicy kopalnianej przystąpi do wykonywania prac wiążących się z dzisiejszymi potrzebami kopalni,
5. będzie pracował siedem godzin dziennie.

Wyrodek ma pracować jedynie i wyłącznie dla Żupy Solnej. Ale niby dlaczego? Takie uzurpowanie sobie praw wyłączności do dzieł artysty to chyba dzisiaj w Polsce wypadek jedyny.

Wyrodka obciąża się dodatkowymi pracami administracyjnymi, każe mu się przedkładać biurokratyczne zestawienia dokonanych prac. O czym ma pisać w tych sprawozdaniach? Czy to zadowoli Zarząd Żupy, jeśli poda, że w ciągu ostatniego miesiąca wykuł jedną nogę w płaskorzeźbie? Na wykończenie jednej z płaskorzeźb spotrzebował przed wojną sześć miesięcy. Czy to mało czy dużo? Kucie w soli jest bardzo ciężką pracą. Przebywanie pod ziemią w straszliwej samotni, gdzie w okresie jesienno-zimowym rzadko jaka wycieczka się pojawia, wymaga dużego samozaparcia. Czy ktoś z rady zakładowej wziął pod uwagę te sprawy? Czy ktoś próbował wczuć się w warunki pracy Wyrodka? Inni górnicy pracują razem na chodnikach, razem wracają.

Żupa Solna wprawdzie zaproponowała Wyrodkowi, że chętnie będzie zawierała z nim umowy o poszczególne dzieła sztuki ale nie określiła wysokości tych zarobków. A z czego ma Wyrodek żyć w międzyczasie? Czy takich umów nie powinno z Wyrodkiem zawierać Ministerstwo Kultury i Sztuki a nie dyrekcja Żupy Solnej?

Wyrodek będzie na pewno pożytecznym rzeźbiarzem, trzeba go jednak otoczyć należytą opieką, a przede wszystkim dać mu warunki materialne. Ale tego nie da się dotąd przeprowadzić dopóki Wyrodek będzie urzędnikiem bez etatu, drżącym ciągle przed każdym pierwszym czy nie dostanie wypowiedzenia.

Atmosfera, jaką wytworzono wokół Wyrodka nie sprzyja twórczości. I tę atmosferę może zmienić tylko Ministerstwo Kultury i Sztuki, jeśli zajmie się nim bezpośrednio.

Rzeźb Wyrodka nie należy chować pod ziemią lecz wydobyć je na powierzchnię. Pokazać całej Polsce. Jego prace winny się znaleźć na naszych wystawach. Wyrodek wczuwa się doskonale w pracę górnika, zna ją dobrze i umie odtwarzać.

Wyrodek jest wielkim artystą ludowym i to powinno być probierzem postępowania wobec niego.

Stanisław Peters

WOKÓŁ ZAGADNIEŃ KRYTYKI RADIOWEJ KRYTYKA ISTNIEJE.

W nrze 28 „Nowej Kultury“ ukazał się artykuł W. Mackiewicza p.t. „Postulaty krytyki radiowej“, który obok wielu słusznych stwierdzeń i postulatów wyrażał pogląd, iż w Polsce krytyka radiowa w ogóle nie istnieje i że żadne pismo u nas nie prowadzi tego działu. Otóż pragnę donieść, że już od czterech miesięcy „Kurier Codzienny“ umieszcza regularnie co tydzień sprawozdania z wybranych audycji słuchowiskowych Polskiego Radia — jako pierwsze i jak dotychczas jedyne pod tym względem pismo w Polsce. Gwoli ścisłości godzi się więc uzupełnić tym faktem wywody autora artykułu. Widocznie uszło to jego uwadze, chyba że artykuł był pisany w r. 1948, o czym można by było wnosić z następującego zdania: „Szlachetność pomysłu *zeszłorocznego* konkursu Szekspirowskiego może być przetransponowana z pola teatralnego na radiowe...“ Konkurs Szekspirowski zaś jak wiadomo odbył się w 1947 roku.

August Grodzicki

O KSZTAŁCENIE „FACHOWCÓW RADIOWYCH“

W związku z artykułem Władysława Mackiewicza p.t. „Postulaty krytyki radiowej“ zamieszczonym w 23 numerze „Nowej Kultury“ — nasunęło mi się parę uwag:

Powstanie twórczej, publicznej krytyki radiowej jest sprawą dużej wagi.

Wobec całkowitej nowości tego rodzaju krytyki i niezwykle różnorodnych zadań programu radiowego, należałoby wciągnąć początkowo do dyskusji na łamach prasy, zarówno krytyków jak i twórców nauki, literatury, teatru, filmu — tych wszystkich dziedzin, które program radiowy obejmuje.

Autor artykułu zatrzymuje się na pewnym drobnym wycinku radiowym — słuchowiskach — uwagi jego odnoszą się jednak w tym samym stopniu do wszelkich innych audycji. Wypowiedzi krytyczne osób znających dobrze poszczególne dziedziny, które wypełniają program radiowy, nie z radia, ale ze swojej codziennej pracy, ułatwiłyby zarówno stworzenie właściwej krytyki radiowej jak i pracę programowców w radiu. W następnym etapie dałoby to podstawę do wykazania konieczności stworzenia „szkoły radiowej“.

W chwili obecnej jedynymi „radiowymi“ fachowcami w radiu są technicy, poza tym program opiera się na ludziach „wypożyczonych“ z poszczególnych dziedzin naszej twórczości, ludziach mających zresztą niejednokrotnie prawdziwą „żyłkę“ radiową. I właśnie posiadacze „żyłki“ radiowej powinni się zastanowić nad programem ewentualnej szkoły radiowej, która początkowo mogłaby powstać jako wydział przy jakiejś już istniejącej szkole teatralnej czy filmowej.

Inicjatywa „Nowej Kultury“ jest bardzo cenna, jako pierwsza próba wynagrodzenia dotychczasowego zaniedbania przez naszą prasę zagadnienia radiowego. Radio, jako niewątpliwie jeden z najważniejszych czynników upowszechnienia oświaty i kultury, powinno jak najprędzej zająć należne mu miejsce w prasie.

Czas już żeby problemy polskiego radia przestały być gośćmi tylko „Wesołych Kącików“

Jadwiga Berens

WSZECHNICA RADIOWA ROZPOCZĘŁA TRZECI ROK PRACY

Powszechna, nowego typu uczelnia — Wszechnica Radiowa rozpoczęła dn. 15 października nowy rok szkolny. Z tej okazji przemówienie inauguracyjne wygłosił o g. 11.15 w Programie I Minister Oświaty, Witold Jarosiński.

Wykłady Wszechnicy Radiowej na Kursie I będą się odbywały w programie II o godzinie 19.00: w poniedziałki i czwartki — „Przyroda“, we wtorki i piątki — „Rozwój społeczeństwa ludzkiego“, w środy i soboty — „Historia Polski i kultury polskiej“. Wykłady te będą powtarzane w programie I o godzinie 6.10: „Przyroda“ — we wtorki, „Rozwój społeczeństwa ludzkiego“ — w środy i soboty, „Historia“ — w poniedziałki i czwartki. W niedziele Wszechnica nadawać będzie w Programie II o godzinie 14.00 wykład „Nauki o Polsce współczesnej“, który powtarzany będzie w programie I we czwartki o godzinie 8.55.

Rozkład wykładów kursu II (wyższego) w programie I o godzinie 21.40: w poniedziałki — „Nauka o świecie“, we wtorki — „Materializm dialektyczny i historyczny“, w środy — „Historia literatury polskiej“, w czwartki — „Ekonomia polityczna“, w piątki — „Historia ruchu robotniczego“, w soboty o godzinie 22.10 — „Historia literatury polskiej“. W niedzielę o godzinie 11.15 — „Przyrodnicze podstawy poglądu na świat“.

W programie II wykłady II kursu będą powtarzane o godzinie 7.20: w poniedziałki — „Historia ruchu robotniczego“, we wtorki i piątki — „Historia literatury polskiej“, w środy — „Przyrodnicze podstawy poglądu na świat“, w czwartki — „Materializm dialektyczny i historyczny“, w soboty — „Ekonomia polityczna“. Powtórzenie wykładu „Nauki o świecie“ w programie II będzie co środę o godzinie 14.10.

KSIĄŻKI NADESŁANE

„CZYTELNIK“

Kornel Filipowicz. Księżyc nad Nidą. Okładkę projektował **J. S. Miklaszewski.** Warszawa, 1950; str. 211 i 1 nl.

Takidżi Kobajaszi. Poławiacze krabów. Tłumaczył z przekładu czeskiego **A. J. Kamiński.** Okładkę projektował **K. M. Sopoćko.** Ilustrował **J. S. Miklaszewski.** Warszawa, 1950; str. 148 i 12 nl.

Walentyn Katajew. Wiadukt. Sen. (Teksty rosyjskie „Czytelnika“. Zeszyt 3). Warszawa, 1950; str. 51 i 1 nl.

M. Lermontow. Mcyri. (Teksty rosyjskie „Czytelnika“. Zeszyt 4). Warszawa, 1950, str. 38 i 2 nl.

Alfred Jahn. Lodowce. (Wiedza Powszechna. Cykl: Ziemia i jej dzieje. Zeszyt 11). Warszawa, 1950; str. 43 i 1 nl.

Wiktor Buch. Przemysł w planie 6-letnim. Opracowanie graficzne: **Tadeusz Trepkowski.** Warszawa, 1950; str. 77 i 3 nl.

Adolf Wittels. Drogami rozwoju budownictwa na tle dziejów człowieka. (Wiedza Powszechna. Cykl: Architektura. Zeszyt I). Warszawa, 1950; str 59 i 1 nl.

Roman Kongiel. Udział organizmów w budowie skorupy ziemskiej. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: O powstaniu i rozwoju życia na ziemi. Zeszyt VII). Warszawa, 1950; str. 60.

Edward Stenz. Zjawiska optyczne w atmosferze. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Fizyka. Atmosfery. Zeszyt VIII). Warszawa, 1950; str. 62 i 2 nl.

Andrzej Danysz. Antybiotyki. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Przełomowe odkrycia w medycynie. Zeszyt VII). Warszawa, 1950, str. 36.

Irena Vetulani. Regeneracja. Odtwarzanie utraconych części ciała. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Wzrost i rozmnażanie — warunek ciągłości życia. Zeszyt I). Warszawa, 1950; str. 36.

Irena Merzan. Nie ma złych dzieci. (Wiedza Powszechna. Seria: Biblioteczka dla każdego. Tomik I). Warszawa, 1950; str. 88 i 2 nl.

Bohdan Mączewski-Rowiński. Gazogeneratory konkurują z benzyną. (Wiedza Powszechna. Cykl: Historia wynalazków. Zeszyt V). Warszawa, 1950; str. 58 i 2 nl.

Stefan Niementowski. Przeróbka ropy naftowej i gazu ziemnego. (Wiedza Powszechna. Cykl: Górnictwo. Zeszyt IV). Warszawa, 1950; str. 74 i 2 nl.

Kazimierz Gierdziejewski. Kurs odlewnictwa. Przetapianie metalu w odlewniach. Wydanie drugie znacznie uzupełnione i poszerzone. (Biblioteka Podręczników Akademickich). Warszawa, 1950, str. XIII i 3 nl i 640.

J. I. Kraszewski. Bajbuza. Okładkę projektował **Andrzej Heidrich.** Warszawa, 1950, str. 475 i 5 nl.

Jurij Tynianow. Puszkin. Część II. Tłumaczyła z rosyjskiego **Nadzieja Prucka.** Wiersze Przełożył **Jerzy Litwiniuk.** Okładkę projektował **K. M. Sopoćko.** Warszawa, 1950, str. 336.

Dora Gabe. Miczeto siostra Piotrusia. Tłumaczyła z bułgarskiego **Zofia Wolnik** i **Anna Gmólska.** Okładkę projektował **Marek Rudnicki.** Warszawa, 1950. str. 106 i 2 nl.

Karol Stromenger. Mikołaj Rimskij - Korsakow (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Opera słowiańska. Z II). Warszawa, str. 54 i 2 nl.

Tadeusz Cyprian. Fotografika. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Fotografia dla wszystkich. Z. IX). Warszawa, 1950, str. 59 i 1 nl.

Maria Miłkowska. Centrale telefoniczne. (Wiedza Powszechna). Warszawa, 1950, str. 67 i 1 nl.

Jerzy Rabsztyn. Mechanizacja wydobycia węgla. (Wiedza Powszechna. Cykl: Postęp techniczny w górnictwie. Z. I). Warszawa, 1950, str. 56.

Jan Mergentaler. Wiadomości ogólne o gwiazdach. (Wiedza Powszechna. Z cyklu: Świat gwiazd. Z. II). Warszawa, 1950, str. 40.

Alfred Wiślicki. Maszyny przy robotach Ziemnych. (Wiedza Powszechna). Z cyklu: Nowoczesne metody w budownictwie. Z. II). Warszawa, 1950, str. 45 i 3 nl.

Stefan Janicki. Roboty pokrywcze i blacharskie. (Wiedza Powszechna. Cykl: Budownictwo. Z. IV). Warszawa, 1950, str. 59 i 1 nl.

Henryk Łukasiak. W fabryce odbiorników radiowych. (Wiedza Powszechna. Cykl: Zwiedzajmy fabryki i zakłady. Z IX). Warszawa, 1950, str. 69 i 3 nl i 8 knl.

„KSIĄŻKA I WIEDZA“

I. Wasilenko. Plan życia. Tłumaczyła **M. Zabłudowska.** Ilustracje i okładka **Marii Mackiewicz.** Warszawa, 1950; st. 349 i 3 nl.

Iwan Franko. Murarz i inne opowiadania. Przekład **Ireny Tuwim-Stawińskiej.** Okładkę projektował **Jan Marcin Szancer.** Ilustrował **Zbigniew Rychlicki.** Warszawa, 1950; str. 62 i 2 nl.

Balzac. Kobieta trzydziestoletnia. Przełożył i wstępem opatrzył **Tadeusz Żeleński-Boy.** Okładkę projektował **Antoni Uniechowski.** Warszawa, 1950; str. 371 i 1 nl.

Le Sage. Przypadki Idziego Blasa. Przełożył **Julian Rogoziński.** Okładkę projektował **Adam Marczyński.** Warszawa, 1950; str. 637 i 3 nl.

I. Ulin. Bohater pracy socjalistycznej Paweł Podżarow. (Biblioteka Przodowników Pracy. Nr 45). Warszawa, 1950; str. 55 i 1 nl.

Irena Witkowska. Młodzież buduje. (Pierwszy dzień nowych norm). Biblioteka Przodowników Pracy. Nr 50). Warszawa, 1950; str. 31 i 1 nl.

K. Kriwoszein, L. Lencz, M. Lewitin i A. Zikarkow. Ameryka... Obrazki satyryczne. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 63). Tłumaczyła **Maria Czanerle.** Warszawa, 1950; str. 58 i 6 nl.

Vasek Kania. Brygada szlifierza Karhana. (Biblioteczka Świetlicowa CRZZ. Nr 61). Warszawa, 1950; str. 131 i 1 nl.

T. Łysenko. Dziedziczność i jej zmienność. Warszawa, 1950; str. 89 i 3 nl.

O. Kuusinnen. Gdzie Stalin tam zwycięstwo. **M. Mitin.** J. W. Stalin — koryfeusz nauki marksistowsko-leninowskiej. Warszawa, 1950; str. 66 i 2 nl.

Korea walczy. Warszawa, 1950; str. 106 i 6 nl.

Bronisław Wiernik. Wall Street napada na Koreę. Warszawa, 1950, str. 38 i 2 nl.

Stanisław Brodzki. Titowszczyzna — szturmowy oddział imperializmu. Warszawa, 1950; str. 131 i 5 nl.

„PRASA WOJSKOWA“

E. Malcew — Gorące źródła. Przełożyła z rosyjskiego **Joanna Poraska,** okładkę projektował **Ryszard Sidorowski,** Warszawa, 1950, str. 496.

Aleksander Punczenok — Morska Piechota. Przełożył z rosyjskiego **Jan Miller,** okładkę projektował **Ryszard Sidorowski,** Warszawa, 1950, str. 222 i 1 nl.

Aleksander Kononow — Opowiadania o Leninie. Przekład z rosyjskiego, okładkę projektował **Stefan Styczyński,** Warszawa, 1950, str. 107 i 2 nl.

S. Dikowski — Komendant ptasiej wyspy. Przełożył z rosyjskiego **Mariusz Kwiatkowski.** Biblioteka Żołnierza, Warszawa, 1950, str. 118 i 3 nl.

I. Isakow — Marynarka wojenna ZSRR w okresie Wielkiej Wojny Narodowej. Przekład autoryzowany **B. Dzimicza,** Warszawa, 1950, str. 123 i 3 nl.

WYDAWNICTWO LUDOWE

Karol Pędowski. Umarł jeden człowiek. Opowiadanie. (Mała Biblioteczka Niezależnego Dwutygodnika Literackiego „Warszawa“). Warszawa, 1949; str. 23 i 1 nl.

RADIOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

R. W. Hallows. Telewizja. Z angielskiego przełożył **Jerzy Borecki.** Tom 16. Warszawa, 1950; str. 213 i 3 nl. i XIX i 1 nl.

Tadeusz Daniszewski. Z dziejów walk proletariatu polskiego. Tom 17. Warszawa, 1950; str. 101 i 11 nl.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTW SZKOLNYCH

E. A. Asratian. Akademik Iwan Pawłow. Przełożył z rosyjskiego **L. Skarżyński.** Warszawa, 1950; str. 67 i 1 nl.

Henri Wallon. Od czynu do myśli. Szkic z zakresu psychologii porównawczej. Przełożyła z francuskiego **A. Szemińska i H. Ryll.** Przedmowa **T. Tomaszewskiego.** Warszawa, 1950; str. 246 i 2 nl.

N. W. Gogol. Nocz' pierед rożdiestwom. Opracowała **Ludmiła Francew.** Warszawa, 1950; str. 88.

Kazimierz Petrusewicz. Nauka Pawłowa a materializm dialektyczny. Warszawa, 1950; str. 40.

Helena Rychlewska - Woyciechowska. Przygody karpia. Warszawa, 1950; str. 29 i 3 nl.

J. Głuszczenko. Teoria Miczurina w walce z idealizmem w biologii. Przełożyła z rosyjskiego **Zofia Gąsiorowska.** Warszawa, 1950; str. 37 i 3 nl.

Jan Sokołowski. Obrazki z życia ptaków w zimie. Wydanie II. Warszawa, 1950; str. 22 i 2 nl.

A. S. Puszkin. Mietiel. Opracowała **Nadzieja Modlińska.** Warszawa, 1950; str. 32.

Aleksander Puszkin. Wybór poezyj. Opracował i wstępem opatrzył **Seweryn Pollak.** Warszawa, 1950; str. 151 i 1 nl.

Zofia Nałkowska
WĘZŁY ŻYCIA
Powieść tom I. Wyd. 2
str. 170 zł 220

Jacek Wołowski
Z DZIENNIKA PODRÓŻY do ZWIĄZKU RADZIECKIEGO
str. 94 zł 80

Dla dzieci i Młodzieży
Dymitr Łuchmanow
POD ŻAGLAMI
str. 262 zł 270

Andrzej Sekora
ROZGNIEWANY WĘGIELEK
str. 24 zł 120

„Czytelnik“

UKAZAŁ SIĘ NOWY ZESZYT MIESIĘCZNIKA
„PAŃSTWO I PRAWO“
TREŚĆ NUMERU

Dr Ludwik Gelberg — Wojna w Korei w świetle prawa międzynarodowego.
Tadeusz Rek, wicemin. Sprawiedliwości — Zakres i cele reformy adwokatury.
Dr Jerzy Mayzel — Umowy planowe.
Jan Baszkiewicz — Poglądy Stanisława Kutrzeby na państwo.
Dr Wacław Szubert, prof. U. Ł. — Ubezpieczenie od wypadków przy pracy w perspektywie rozwojowej.
Zagadnienie karnej i cywilnej odpowiedzialności lekarza — (Odpowiedź na pytania prawne prof. dr H. Brokmana — (dr Paweł Asłanowicz i dr Tadeusz Cyprian).

Z PRAC PODSEKCJI PRAWA I KONGRESU NAUKI POLSKIEJ
Konferencja grupy prawa administracyjnego.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA
W. Lune — Mieżdunarodnoje czastnoje prawo (rec. *Kazimierz Przybyłowski)*
L. Andrejew, L. Lernell, J. Sawicki — „Prawo karne Polski Ludowej“ (rec. *Leon Schaff).*
Varia
Przegląd czasopism amerykańskich *(Wojciech Morawiecki).*
Orzecznictwo cywilne.
Orzecznictwo Głównej Komisji Arbitrażowej.
Biuletyn Informacyjny Warszawskiej Rady Adwokackiej.
Polska Biblioteka Prawnicza.

STRESZCZENIE W JĘZYKU ROSYJSKIM I ANGIELSKIM

mała kronika

Przeczytałem kiedyś w „Life" przedziwną wiadomość. Ilustrowany tygodnik amerykańskich burżujów ubolewał, że Stany Zjednoczone nie mają tragedii równej dziełom Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypidesa, Szekspira. Nawet ich czołowy dramaturg, osławiony Eugene O'Neill, nie potrafił uczynić nic więcej niż pokazać na scenie kilku żałosnych pijaków, zebranych w barze i to wszystko nazwać „tragedią". Czemuż tak się dzieje w tym najlepszym ze światów — kapitalizmu? „Life" twierdzi, że literatura amerykańska nie może być wzniosła i prawdziwie patetyczna, jak wielka tragedia, gdyż przeciętny czytelnik amerykański (mimo wszystko) wierzy w demokrację. Więcej nawet: wierzy w postęp. Nie uznaje arystokratów, nawet przemysłowych. A to źle. Ateńczycy, właściciele niewolników, patrzyli z poczuciem wyższości na męki Edypa, podobnie elżbietańscy dworzanie na cierpienia Lira. Amerykanie zbytnio się przejmują cierpieniami bohaterów dramatu, utożsamiają się z nimi, więc jakże tu tworzyć wzniosłą tragedię? Ateńczycy nie wierzyli w postęp, tak samo elżbietańscy panowie; tymczasem zaś idee już nie Marksa, ale Darwina i Spencera rabują Amerykanów z poczucia tragiczności w sztuce. Tennyson uważał nawet, że Bóg jest po stronie postępu. Być może jest, powiada „Life". Ale mnożą się oznaki, które świadczą o czymś przeciwnym. Gdyby tak było, świętowalibyśmy odrodzenie tragedii. Odrzućmy ideę demokracji i postępu, uwierzmy, że można człowieka karać za winy nie popełnione, a będziemy mieli tragedię. Przykład: zrzucenie bomby atomowej na Hiroszimę.

Od tego czasu drukarnie wyrzuciły dziesiątki tysięcy książek na bruk New Yorku czy Bostonu; fabryki wyrzuciły na bruk setki tysięcy bezrobotnych; okręty wyrzuciły na mola europejskich portów setki czołgów i armat; samoloty zrzuciły na Koreę setki ton bomb. Tragizm? Los burżuazji nie może być tragiczny, bo jest ona podła, tchórzliwa i zdradziecka. Nie zna moralności, zna tylko pieniądz. Oszukuje się, jak stary Rockefeller, który przed śmiercią dostawał co dzień specjalnie dla niego drukowaną gazetę z samymi miłymi wieściami. Popijał co dzień swe mleczko i kiedy nadciągała wojna faszystowska, kiedy powstawały ludy kolonialne, umarł, przekonany błogo, że świat tylko troszczy się o niego, o filantropa znakomitego. Ale jest prawdziwie tragiczny los Sacco i Vanzettiego, którzy zginęli w walce o wyzwolenie polityczne narodu amerykańskiego. Nie są tragiczne usiłowania dyrektora US Steel, który niedawno rozpoczął wielką akcję propagandową na rzecz swego kartelu, reklamując jego potęgę i sprawność i zwalczając „reakcyjne" (jak powiada) dążenia do dekartelizacji; lecz tragiczne jest życie tego murzyńskiego pisarza, który pod zmyślonym zarzutem zamknięty został w więzieniu na długich osiemnaście lat, aż wreszcie uciekł i ukrywa się u przyjaciół. Widziałem karykaturę Mittelberga: lotnik amerykański pokazuje koledze fotosy rodzinne i mówi: „Strasznie lubię swoje małe". A jednocześnie z otwartych drzwi bombowych sypią się bomby na koreańskie dzieci. Nie jest tragiczny ten lotnik, tragiczny jest los ludu koreańskiego.

I nie jest tragiczny podżegacz Acheson, którego krawcy amerykańscy skreślili z listy najlepiej ubranych panów, gdyż nosi angielskie garnitury, ale piękna i tragiczna jest postać Murzyna Willego Mac Gee, którego skazano na karę śmierci za „skrzywdzenie" białej kobiety. Wrześniowy numer „Masses and Mainstream" zamieszcza reportaż Hayeta, członka Komitetu Obrony Praw Obywatelskich, który zmobilizował postępową opinię Ameryki w obronie oskarżonego. M. inn. odwiedził on szanownego pastora Tuckera, który znał „skrzywdzoną" panią i twierdził, że jest ona na „pewnym" punkcie przeczulona i że w jej słowach nie ma ani krzty prawdy. W ogóle zaś pastor jest przeciwny z zasady karze śmierci. „Więc pan wstawi się u gubernatora, żeby wypuszczono więźnia?" spytał Hayet. „Nie!" „Ale przecież jest pan przeciw karze śmierci, która mu grozi!" „Nie będę z panem dyskutował!" krzyknął szanowny pastor i wstał, aby odprowadzić gościa do drzwi. Przy drzwiach dodał słodkim głosem z niedzielnego kazania: „Szanuję wysiłki pańskie o słuszną, zdaniem pana, sprawę, ale niech pan nie zapomina, proszę pana, że Jezus umarł na krzyżu, a przecież był niewinny". Kiedy Hayet szedł ulicą, napotkany Murzyn szepnął mu ukradkiem: „Niech pan uważa, śledzą pana". I choć miejscowi faszyści pobili delegatów Komitetu, nie udało się im posadzić Murzyna na krześle elektrycznym; ludzie postępu wywalczyli zwycięstwo. Oto wzniosłość, ale takiej wzniosłości, rzecz jasna, nie chce ani „Life" ani O'Neill.

Niedawno Hemingway wydał powieść o drugiej wojnie światowej. Pokazał w niej Amerykanów jako bandytów, a Anglików jako łotrów. Był na froncie włoskim, był w inwazji; wrócił rozgoryczony. Reportażyści prześcigali się w wychwalaniu cnót żołnierza, w obrazach bohaterstwa, poświęcenia i odwagi, ale Hemingway dostrzegł pod tym wszystkim interes i zbrodnię „nadludzi". Dziś nawet najlichszy reportażyna nie odważy się gloryfikować poczynań amerykańskich w Korei; nie przeprowadzają wywiadów z żołnierzami, nie opowiadają zbyt szczegółowo o ich uczuciach i osobistych wyczynach; bo i cóż tu opowiadać, kiedy zdjęcia, najniewinniejsze zdjęcia, zamieszczone obok artykułu, oskarżają agresorów?

Mała szkoda, że burżuazyjna literatura nie dała ludzkości wielkiej tragedii. Za to obdarzyła ją dziesiątkami tysięcy powieści kryminalnych i pornograficznych. Długą drogę przeszła burżuazja amerykańska od rooseveltowskiej wiary w cztery wolności, w postęp i demokrację. Marzenia „Life" się spełniają: zamiast wiary w demokrację, choćby burżuazyjną, uwierzono w bombę atomową, zamiast w postęp, choćby darwinowski, w trzecią wojnę światową. A słowo tragedia obok literackiego ma i drugie znaczenie. Oznacza nieszczęście. Tym burżuazja amerykańska szczodrze obdarza ludzkość. Marzy, aby pewnego dnia ściągnąć to nieszczęście na własny naród; wtedy z forrestalowskim uśmiechem idioty powie: że się marzenia jej spełniły.

Tadeusz Borowski

Komentarze

Odnaleziony i utracony van Gogh

Płótno van Gogha, przedstawiające „Dyliżans z Taraskonu", uchodziło za zaginione. Znano je tylko z krótkiej wzmianki, zachowanej w korespondencji sławnego malarza. „Maluję — pisał van Gogh — po prostu czerwono-zielony dyliżans, stojący na dziedzińcu w zajeździe. Mury są żółte i szare, okiennice zielone; niebieskie, czarne i pomarańczowe plamy...".

„Dyliżans z Taraskonu" został odnaleziony w Ameryce. Nowojorski kolekcjoner, który w życiu publicznym jest królem szynki, kupił to płótno na użytek prywatny za 85 tysięcy dolarów. Tym samym wspaniały obraz wielkiego malarza zniknął ponownie z ludzkich oczu. Przepadł w prywatnych apartamentach amerykańskiego miliardera, który przelicytował możliwości finansowe wszystkich muzeów świata.

Kupno jest niewątpliwie zwykłym trickiem reklamowym, takim samym, jak łożenie na uniwersytety, aby się mówiło, że król żyletek ufundował lub podźwignął z ruiny wyższą uczelnię, więc kupujmy jego żyletki. Nie wykluczone, że podobiznę „Dyliżansu z Taraskonu" robotnicy amerykańscy ujrzą niezadługo — i to „w kolorach naturalnych"! — na puszkach od konserw z szynką lub

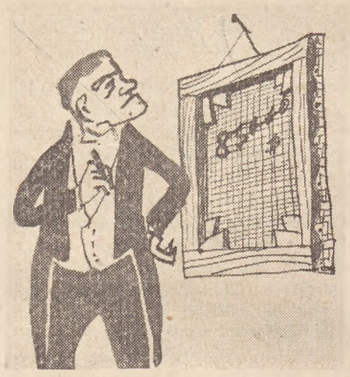

na pergaminowych obwolutach mrożonych bekonów.

Król szynki sprowadzi popularyzację sztuki na własne tory. Dzięki temu 85 tysięcy dolarów, które wyłożył na nieznanego van Gogha, skanalizuje do jego kas stokrotne zyski.

To jest — co się zowie — kolekcjonerstwo. **si**

Przyjęcie z honorami

Austriacki pianista Fryderyk Gulda został zaproszony do Stanów Zjednoczonych, gdzie miał wystąpić z szeregiem koncertów w Nowym Jorku i innych miastach amerykańskich. Muzyk, zadowolony z tak zaszczytnego zaproszenia, wsiadł na okręt i wyruszył w drogę. W Ameryce przyjęto gościa z honorami, tj. zaraz po opuszczeniu okrętu zaaresztowano go i osadzono w więzieniu na wyspie Ellis Island. Przeciwko gościowi miała poważne zarzuty amerykańska tajna policja. Czyżby Gulda był komunistą? A może planował zamach na prezydenta Stanów? Ani jedno, ani drugie. Policja wyszperała, że Gulda przed kilkoma laty brał udział w konkursie muzycznym w Pradze, gdzie zdobył pierwszą nagrodę. Polityką nigdy się nie zajmował.

Na godzinę niemal przed koncertem w Nowym Jorku Gulda został zwolniony z aresztu i otrzymał zezwolenie na jeden występ. Pianista przejechał tedy wprost z więzienia do gmachu koncertowego, gdzie

miał zaledwie czas przebrać się, po czym od razu pojawił się na estradzie. Natychmiast po koncercie musiał opuścić Amerykę, tak że artysta nie miał nawet okazji do zwiedzenia Nowego Jorku. Jedynym obiektem, który mógł w tym mieście dokładnie obejrzeć, była statua wolności w porcie nowojorskim. **rk.**

Złote myśli stratega

Amerykański generał Roberts, ten sam Roberts, który organizował najazd południowo-koreańskich najemników na Koreańską Republikę Ludową, był podejmowany przez przemysłowców amerykańskich na bankiecie w Kalifornii. Przyjęcie, zorganizowane z wielką pompą, było obficie zakrapiane alkoholem, co rozwiązało język generałowi Robertsowi, który w sztuce przemawiania, podobnie jak i w sztuce wojennej, nie odznacza się wybitnymi zdolnościami. No, ale Roberts w końcu sklecił kilka zdań. Mówił o polityce amerykańskiej

na Dalekim Wschodzie i o Misji Stanów Zjednoczonych wśród Japończyków i Filipińczyków. Generał Roberts bardzo wychwalał te narody, a swoje dytyramby na ich cześć zakończył następującym komplementem: „Japończycy i Filipińczycy odznaczają się przede wszystkim tymi zaletami, że można ich łatwo kupić. Kosztują oni po pięć dolarów miesięcznie plus miseczkę ryżu dziennie".

Po przemówieniu rozwinęła się dyskusja, w której zapytano politykującego wojaka, czy Japończycy i Filipińczycy zgodzą się walczyć w obronie interesów amerykańskich. Generał Roberts załatwił tę kwestię jednym krótkim zdaniem: „Jeśli nie zechcą walczyć, nie damy im po prostu jeść". Ta genialna odpowiedź wywołała zachwyt wśród biesiadników, którzy wynagrodzili rzęsistymi brawami dziarskiego generała. **kst.**

Einstein piętnuje nadużywanie nauki

W Rzymie odbył się kongres włoskiego Towarzystwa dla popierania postępu w nauce i w czasie jego obrad odczytano orędzie Alberta Einsteina wystosowane do włoskich uczonych, poruszające problem tragicznej sytuacji uczonego w krajach kapitalistycznych. Między innymi Einstein pisał:

„Uczony jest dumny z tego, że życie gospodarcze zostało całkowicie przekształcone przez badania naukowe. Uczony jest jednak przygnębiony tym, że rezultaty jego pracy są wielkim niebezpieczeństwem dla ludzkości, ponieważ są nadużywane przez obłędnych ludzi. Uczony uświadamia sobie, że zastosowanie jego badań zostało skoncentrowane w rękach mniejszości."

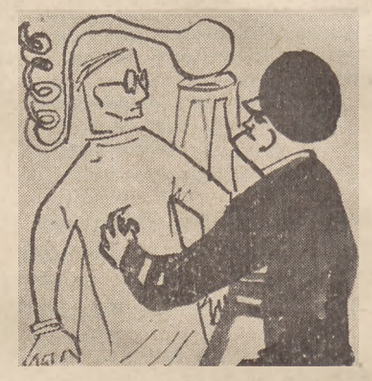

Podkreślając „rzeczywiście tragiczny los człowieka nauki", którego polityczni władcy zmuszają do milczenia, wielki uczony nawołuje w swoim apelu wszystkich uczciwych badaczy naukowych do obrony pokoju i do oporu przeciw nadużywaniu nauki do zbrodniczych celów. „Uczony jest żołnierzem — kończy swoje orędzie Einstein — który jest zobowiązany do poświęcenia się w obronie życia innych ludzi, choćby nawet był przeświadczony o nieskuteczności tej ofiary". **rk.**

Landsberg leży również nad Tybrem

Bawarskie więzienie w Landsberg wypluwa wciąż nazistowskich zbrodniarzy wojennych. Chłonne arterie dolarowych organizmów potrzebują wciąż nowych zastrzyków i dlatego pustoszeją więzienne cele po hitlerowskich przestępcach. Władcom Wall-Street ten gatunek partnerów wydaje się najodpowiedniejszy dla realizowania ich planów i dlatego wielkokapitalistyczna łaska promieniuje nie tylko w zasięgu Trizonii.

Marshallowskie władze Włoch nie chciały okazać się gorsze od marshallowskich władz państewka ze stolicą w Bonn. Parę tygodni temu opuścił rzymskie więzienie faszystowski marszałek Mussoliniego, tropiciel i morderca partyzantów, Rudolfo Graziani. Wyjście z więzienia odbyło się oczywiście głęboką nocą, w ciemności i mgle — podobnie zresztą, jak to miało miejsce z jego niemieckimi kolegami. Pewnie dla uniknięcia zbyt „entuzjastycznych" powitań ze strony społeczeństwa.

Cały przebieg procesu Grazianiego był od początku do końca nędzną farsą. Kiedy sąd przysięgłych nie mógł w żaden sposób zdecydować się na ustalenie wyroku, Graziani znalazł się przed trybunałem wysokich oficerów włoskich. Generałowie i admirałowie długo ważyli wyrok. Wreszcie zapadł: dziewiętnaście lat — i po czterech miesiącach oskarżony został wypuszczony.

Sporządzenie odnośnej motywacji prawniczej nie przyniosło bynajmniej specjalnych trudności „chrześcijańsko-demokratycznemu" rządowi de Gasperi. Liczne amnestie pochłonęły trzynaście lat i osiem miesięcy, areszt śledczy wyniósł cztery lata — została wprawdzie jakaś tam reszta, ale tę zanulowało dobre sprawowanie więźnia.

Aby postawić kropkę nad i i uniknąć zbyt rozwlekłych komentarzy, warto przytoczyć oświadczenie Grazianiego, które złożył w lutym br. przed sądem: „Pozostaję wierny faszyzmowi".

Nie wątpimy ani na chwilę. **zr.**

Z prasy kubańskiej

Amerykański drapieżca

ARTUR MARIA SWINARSKI

NOCNE ROZMYŚLANIA MISTER HEARSTA*)

Że czerwonoskóry ma czerwoną skórę,
a Czerwony Kapturek czerwony kapturek,
że słońce lubi zachodzić czerwono —
trudno! co robić? Tak musi być pono.

Ale sen mi zgania z powiek,
że się czerwonym staje — szary człowiek.
I że czerwone są żółte Chiny.
I że czerwone czarne Murzyny.
I że pieśń czarnego Robesona
cała w czerwonych tonach.
Czarna magia nie pomoże
i magia złota nie pomaga.
Czerwone jest Czarne Morze.
Czerwona złota Praga...
Chciałbym wypocząć na zielonej trawie,
z czarną reakcją przy czarnej kawie
śnić o niebieskich migdałach, na szary
tłum patrząc przez różowe okulary.
A nagle czerwień wybucha jak grom —
patrzę: czerwony Biały Dom!

To był tylko sen... Ale w mych snach
czerwony nawet blady strach.
Łamie mi żebra
żółta febra —
(a może czerwona?)
Miotać mną biała gorączka zaczyna —
(a może czerwona?)
Czuję, że czeka mnie czarna godzina —
(a może czerwona?)
Po rękawie lata mi biała mysz —
(a może czerwona?)
Ratunku! Pogotowie! Karetka! Biały Krzyż!
(a może Czerwony Krzyż?).

*) Wyjęte z nowo wydanego nakładu Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" tomu Artura Marii Swinarskiego pt. „Satyry — Huragan".

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12.. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12. tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 100—: kwartalnie zł 300—: półrocznie zł 600—: rocznie zł 1200—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: zł 180 za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń Czytelnik, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.
Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 B-126747